

**C.S. LEWIS**

# **OSTATNIA BITWA**

Przełożył Andrzej Polkowski

## ROZDZIAŁ 1 NAD KOTŁEM

DALEKO NA ZACHODZIE, za Latarnianym Pustkowiec, opodal Wielkiego Wodospadu, żył u schyłku dziejów Narnii pewien szympans. Był tak stary, że nikt już nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy pojawił się w tych okolicach. Trudno wyobrazić sobie małpę sprytniejszą, brzydszą i bardziej pomarszczoną. Mieszkał w drewnianym, wmoszczonym liśćmi domku, zawieszonym w rozwidleniu wielkiego drzewa. Nazywano go Krętaczem.

W tej części puszczy rzadko spotyka się mówiące zwierzęta, ludzi czy karły, lecz Krętacz miał sąsiada i przyjaciela - osła zwanego Łamigłówkiem. W każdym razie obaj utrzymywali, że są przyjaciółmi, choć wiele wskazywało raczej na to, iż Łamigłówek wcale nie jest przyjacielem Krętacza, tylko jego sługą. To osioł wykonywał każdą cięższą pracę. Kiedy szli razem nad rzekę, Krętacz napełniał wodą wielkie skórzane bukłaki, ale to Łamigłówek dźwigał je z powrotem. Kiedy potrzebowali czegoś z miasta, to Łamigłówek wędrował w dół rzeki z pustymi koszami na grzbiecie i wracał z koszami pełnymi i ciężkimi. Natomiast Krętacz zjadał wszystkie najlepsze smakołyki, co uzasadniał w ten sposób: „Jak dobrze wiesz, Łamigłówku, nie mogę jeść trawy i ostu jak ty, więc chyba rozumiesz, że muszę to sobie czymś wynagrodzić”. A osioł zawsze odpowiadał: „Ależ oczywiście, Krętaczu, oczywiście. Doskonale to rozumiem”. Łamigłówek nigdy się nie żalił, ponieważ wiedział, że Krętacz jest od niego o wiele mądrzejszy; i tak już nadzwyczaj miło z jego strony, że przyjaźni się z osłem. Kiedy Łamigłówek próbował wyrazić swoje zdanie na jakiś temat, Krętacz zawsze mu przerywał: „Posłuchaj, Łamigłówku, wiem lepiej od ciebie, co trzeba zrobić. Wiesz przecież, że nie jesteś mądry”. A osioł odpowiadał: „Tak, tak, Krętaczu, masz świętą rację. Nie jestem zbyt mądry”. Potem wzdychał i robił to, co mu szympans powiedział.

Pewnego wiosennego ranka przechadzali się obaj nad brzegiem Kotła. Kotłem nazywano wielki staw położony u stóp gór na zachodnich kresach Narnii. Z gór, z hukiem podobnym do nigdy nie przemijającego grzmotu burzy, spadał do Kotła Wielki Wodospad, a z drugiej strony wypływała Wielka Rzeka biegnąca przez całą Narnię. Wodospad sprawiał, że woda w Kotle wciąż wirowała, pienila się i bulgotała, jakby ją ktoś gotował, i stąd właśnie pochodziła jego nazwa. A najbardziej woda kipiała wczesną wiosną, gdy w dalekich górach poza Narnią, na Zachodnim Odludziu, tam gdzie rzeka bierze swój początek, topniały śniegi.

Kiedy tak przyglądali się wściekłym igraszkom wody w Kotle, Krętacz wskazał na coś ciemnym, nie owłosionym palcem i powiedział:

- Patrz! Co to jest?

- Co jest co? - zapytał Łamigłówek.

- To coś żółtego, co właśnie spadło z wodospadu. O! Znowu się pokazało. Unosi się na powierzchni wody. Musimy zobaczyć, co to jest.

- Musimy? - zapytał Łamigłówek.

- Ależ oczywiście - odrzekł Krętacz. - To może być coś bardzo pożytecznego. Bądź dzielnym osłem, Łamigłóweku, wskocz do Kotła i wyłów to, żebyśmy mogli zobaczyć, co to jest.

- Wskoczyć do Kotła? - zapytał osioł, strzygąc długimi uszami.

- A może znasz jakiś inny sposób, aby to wyciągnąć? - zdziwił się szympans.

- Ale... ale... czy nie lepiej, żebyś ty to zrobił? Bo, widzisz, to ty chcesz się dowiedzieć, co to jest. Ja wcale nie jestem tego ciekaw. No, i masz ręce. Jeśli chodzi o łapanie różnych rzeczy, jesteś tak dobry jak człowiek albo karzeł. Ja mam tylko kopyta.

- No wiesz, Łamigłóweku, nie sądziłem, że może ci coś takiego wpaść do głowy. Naprawdę, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

- O co ci chodzi, co ja takiego znowu powiedziałem? - zapytał osioł pokornym tonem, widząc, że Krętacz poczuł się naprawdę bardzo urażony. - Ja tylko mówiłem, że...

- Żebym to ja wskoczył do wody - przerwał mu szympans. - Tak jakbyś nie wiedział, jak delikatne płuca mają wszystkie małpy i jak łatwo się zaziębiają! Dobrze. Zrobię to. I tak już przemarzłem na tym okropnym wietrze. Ale zrobię to. Prawdopodobnie umrę. Dopiero wtedy będziesz mnie żałował. - Szympans mówił tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Och, nie, nie! Błagam cię, nieee! - zaryczał Łamigłówek. - Wcale nie miałem tego na myśli, naprawdę, uwierz mi. Przecież wiesz, jaki jestem głupi, wiesz, że nie potrafię myśleć o dwu rzeczach naraz. Zupełnie zapomniałem o twoich słabych płucach. Ależ oczywiście, że tam wskoczę. Nie wolno ci nawet o tym myśleć. Przyrzeknij mi, Krętaczu, że tego nie zrobisz!

Więc szympans przyrzekł, a osioł powłókł się, stukając kopytami po skalistej krawędzi Kotła, aby znaleźć jakieś miejsce, w którym dałoby się do niego ostrożnie wejść. Woda była z pewnością lodowata, ale o wiele bardziej przerażało go to, że

pieniła się i bulgotała jak w prawdziwym kotle. Zatrzymał się, dygocąc z zimna i ze strachu. Upłynęła cała minuta i wciąż nie mógł się odważyć, gdy usłyszał za sobą głos Krętacza:

- Może jednak ja powinienem to zrobić, Łamigłówek?

Kiedy osioł to usłyszał, odpowiedział szybko:

- Nie, nie! Przecież mi przyrzekłeś. Już wchodzę! - I skoczył.

Najpierw wielka masa spienionej wody oślepiła go i wdarła mu się do pyska. Potem przykryła go całkowicie na kilka sekund, a gdy za moment wynurzył się już w innym, odległym miejscu, od razu porwał go wir i poniósł, obracając wokoło, coraz szybciej i szybciej, aż do samego wodospadu. Spadająca z wysoka woda wtłoczyła go pod powierzchnię tak głęboko, iż zdawało mu się, że już dłużej nie wytrzyma bez oddechu. A kiedy wynurzył głowę i znalazł się wreszcie niedaleko owej żółtej rzeczy, którą miał wyłowić - ta dostała się pod wodospad i zniknęła pod wodą. Gdy znowu ją zobaczył, pływała dalej niż przedtem. W końcu, śmiertelnie wyczerpany, potłuczony i odrętwiały z zimna, złapał ją zębami i powoli dopłynął do brzegu. Wygramolił się z trudem, niosąc to coś w pysku i potykając się o to kopytami, bo było ciężkie, zimne i obślizgłe, jak nasiąknięty wodą dywanik sprzed kominka.

Rzucił to przed Krętaczem i stał, ociekając wodą, dygocąc z zimna i próbując złapać oddech. Ale szympans nawet na niego nie spojrział i nie zapytał, jak się czuje. Krążył wokół tego czegoś, całkowicie pochłonięty rozwijaniem tego, macaniem i obwąchiwaniem. W końcu w oczach pojawił mu się jakiś niedobry błysk i powiedział:

- To jest skóra lwa.

- Eu... ou... au... och, naprawdę? - wysapał Łamigłówek.

- I zastanawiam się... zastanawiam... zastanawiam - mówił Krętacz do siebie, bo rzeczywiście myślał nad czymś bardzo intensywnie.

- A ja zastanawiam się, kto zabił tego biednego lwa - rzekł Łamigłówek. - Trzeba to pochować. Musimy urządzić pogrzeb.

- Och, nie przejmuj się tak, przecież to nie był mówiący lew - powiedział Krętacz. - Za Wodospadem, na Zachodnim Odludziu, nie ma mówiących zwierząt. Ta skóra musiała należeć do jakiegoś niemego, dzikiego lwa.

(Nawiasem mówiąc, szympans miał rację. Kilka miesięcy temu pewien myśliwy - człowiek - zabił i odarł ze skóry lwa w dalekich ostępach Zachodniego Odludzia. Ale to wydarzenie nie jest częścią naszej opowieści.)

- Ale pomyśl, Krętaczu - odezwał się Łamigłówek - nawet jeśli ta skóra należała

jedynie do niemego, dzikiego lwa, to czy nie powinniśmy jednak sprawić jej przyzwoitego pogrzebu? Chodzi mi o to, że wszystkie lwy są... są trochę... no, urozyste... Chyba rozumiesz, co mam na myśli. Ze względu na... wiesz kogo. Rozumiesz?

- Nie dręcz swojej biednej łepetyny jakimiś pomysłami, Łamigłówek. Wiesz dobrze, że myślenie nie jest twoją najsilniejszą stroną. Zrobimy ci z tej skóry bardzo przyzwoity płaszcz na zimę.

- Oj, to chyba nie jest dobry pomysł - skrzywił się osioł. -To by wyglądało... to znaczy, inne zwierzęta mogłyby pomyśleć... Chcę powiedzieć, że nie czułbym się...

- O czym ty właściwie mówisz? - zapytał Krętacz, drapiąc się z dołu do góry, jak to zwykle robią małpy.

- Myślę, że byłoby brakiem szacunku wobec Wielkiego Lwa, samego Aslana, gdyby taki osioł jak ja chodził sobie w lwiej skórze - powiedział Łamigłówek z niesłychaną jak na niego stanowczością.

- Tylko bardzo cię proszę, nie zaczynaj się upierać - rzekł Krętacz. - Co taki osioł jak ty może wiedzieć o tego rodzaju sprawach? Wiesz przecież, że myślenie nie jest twoją specjalnością, Łamigłówek, więc pozwól mi myśleć za siebie. Dlaczego nie traktujesz mnie tak jak ja ciebie? JA nie uważam, że potrafię wszystko. Wiem, że w pewnych sprawach jesteś ode mnie lepszy. Właśnie dlatego pozwoliłem ci wskoczyć do Kotła: wiedziałem, że zrobisz to lepiej niż ja. Teraz moja kolej. Akurat nadarza się coś, co ja mogę zrobić, a czego ty nie potrafisz. Czy mnie nigdy nie będzie wolno czegoś zrobić? Naprawdę, bądź trochę bardziej sprawiedliwy. I nie upieraj się.

- No, jeśli tak to ujmujesz...

- Powiem ci coś. Dobrze by było, gdybyś pobiegł żwawym truchtem w dół rzeki, do Targobrodu, i zobaczył, czy nie mają tam pomarańczy lub bananów.

- Jestem taki zmęczony, Krętaczu - poskarżył się osioł.

- Tak, ale jesteś też przemoczony i przemarznięty. Musisz się rozgrzać. Ostry trucht dobrze ci robi. A prócz tego dzisiaj w Targobrodzie jest jarmark.

No i oczywiście Łamigłówek poszedł. Gdy tylko Krętacz został sam, ruszył powłócząc kończynami - czasem na dwu, a czasem na czterech nogach - do swojego drzewa. Skacząc z gałęzi na gałąź, a przy tym robiąc miny i skrzecząc coś do siebie, dotarł do swego domku. Wśliznął się do środka i znalazł igłę, nici i wielkie nożyce, był bowiem mądrym szympansem i karły nauczyły go szycia. Wziął do ust kłębek nici (grubych, bardziej przypominających sznurek), tak że policzki wydeły mu się, jakby

ssał ogromny cukierek toffi. Iglę wetknął między wargi, a nożyce chwycił lewą ręką. Potem zszedł z drzewa i powłóczęc nogami, pobiegł do lwiej skóry. Ukucnął przy niej i od razu zabrał się do roboty.

Szybko zorientował się, że cała skóra jest dla Łamigłówka za długa, natomiast szyja - za krótka. Wyciął więc spory kawał skóry i uszył z niej wysoki kołnierz na długą szyję osła. Potem odciął łeb i wstawił kołnierz pomiędzy łeb i ramiona. Po obu stronach rozcięcia skóry umocował sznurek, tak by ją można było związywać na piersiach i brzuchu. Za każdym razem, gdy przelatywał jakiś ptak, Krętacz przestawał szyc i spoglądał niespokojnie w górę, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek widział, co robi. Ale żaden z dostrzeżonych ptaków nie należał do mówiących ptaków, więc szympans nie musiał się lękać.

Łamigłówek wrócił późnym popołudniem. Nie biegł truchtem, lecz - zwyczajem osłów - człapał spokojnie brzegiem rzeki.

- Nie było żadnych pomarańczy - powiedział - ani żadnych bananów. Jestem okropnie zmęczony. - I położył się.

- Chodź tu i przymierz swój nowy płaszcz z lwiej skóry - rzekł Krętacz.

- Och, daj mi spokój z tą starą skórą - jęknął osioł. - Przymierzę ją jutro rano. Jestem za bardzo zmęczony.

- Jesteś przede wszystkim bardzo niemiły, Łamigłówku. Jeśli TY jesteś zmęczony, to co JA mam powiedzieć? Gdy ty zażywałeś cudownego, odświeżającego spaceru wzdłuż rzeki, ja harowałem ciężko przez cały dzień, aby ci uszyć płaszcz. Palce tak mi zeszywniały, że ledwo trzymam nożyce. A ty nawet nie podziękujesz... nawet nie spojrzysz na ten płaszcz... i w ogóle nie obchodzi cię... i... i...

- Mój kochany Krętaczu! - zawołał Łamigłówek, zrywając się na cztery nogi. - Tak mi przykro. Zachowałem się okropnie. Oczywiście, bardzo chcę przymierzyć ten płaszcz. Ach, jak on wspaniale wygląda! Może od razu go przymierzę? Błagam cię, pozwól mi!

- No więc stań spokojnie - powiedział szympans.

Skóra była dla niego trochę za ciężka, ale w końcu, ciągnąc, pchając, dysząc i sapiąc, udało mu się nałożyć ją na osła. Zawiązał mu ją pod brzuchem i na piersiach, przymocował lwie łapy do osłych nóg i lwi ogon do osłego ogona. Z otwartej paszczy lwa wystawał duży kawał szarego, osłego pyska, a zwłaszcza jego długi nos. Nikt, kto choć raz widział prawdziwego lwa, nie dałby się nabrać na tę maskaradę. Ale gdyby spojrział teraz na Łamigłówka ktoś, kto nigdy lwa nie widział, mógłby go wziąć za lwa,

jeśli tylko nie podchodził za blisko i gdyby nie było za jasno, i gdyby Łamigłówek nie rżał rozpaczliwie po oślemu i nie stukał kopytami.

- Wyglądasz wspaniale, wspaniale - rzekł szympans. - Gdyby cię teraz ktoś zobaczył, pomyślałby, że to sam Aslan, Wielki Lew.

- To by było straszne - powiedział Łamigłówek.

- Wcale nie. Każdy by robił to, co byś mu kazał.

- Ale ja wcale nie chcę nikomu rozkazywać!

- Pomyśl tylko, ile dobrego mógłbyś zrobić! - zapalił się Krętacz. - Nie bój się, ja ci będę doradzać. Będę ci wymyślał rozsądne zarządzenia. I każdy będzie musiał je wykonać, nawet sam król. Moglibyśmy w ten sposób uporządkować wszystko w całej Narnii.

- A czy teraz wszystko nie jest w porządku? - zapytał Łamigłówek.

- Co?! - krzyknął Krętacz. - Wszystko w porządku? A gdzie są pomarańcze i banany?

- No wiesz, chyba nie ma zbyt wiele takich stworzeń... prawdę mówiąc, chyba nie ma nikogo prócz ciebie, kto by chciał mieć pomarańcze i banany.

- A cukier? Może jest go za wiele? - zapytał Krętacz.

- No... tak... Na pewno świat byłby przyjemniejszy, gdyby było więcej cukru.

- Więc załatwione - rzekł szympans. - Ty będziesz udawał, że jesteś Aslanem, a ja ci będę mówił, co masz powiedzieć.

- Nie, nie, nie! - zaryczał Łamigłówek. - Nie mów takich okropnych rzeczy! To by było bardzo złe, Krętaczu. Może nie jestem zbyt mądry, ale tego jestem zupełnie pewny. A co będzie, gdy zjawi się prawdziwy Aslan?

- Myślę, że będzie bardzo zadowolony - rzekł Krętacz. - Bardzo możliwe, że to on podrzucił nam tę lwią skórę właśnie po to, abyśmy wszystko uporządkowali. A w ogóle, to wiesz dobrze, że się nie zjawi. Nie w tych czasach.

W tym momencie tuż nad ich głowami huknął przerażający grom. Ziemia zatrzęsa się i obaj upadli.

- A widzisz! - wysapał Łamigłówek, gdy tylko odzyskali oddech. - To był znak, ostrzeżenie. Wiedziałem, że rozmawiamy o czymś okropnie niegodziwym. Natychmiast zdejmij ze mnie tę przeklętą skórę!

- Mylisz się - powiedział spokojnie szympans (którego umysł pracował niesłychanie szybko). - To zupełnie inny znak. Właśnie chciałem powiedzieć, że jeśli prawdziwy Aslan, jak go nazywasz, chce, abyśmy uporządkowali wszystko w Narnii,

posługując się tą skórą, to z pewnością da nam znak w postaci gromu i trzęsienia ziemi. Właśnie miałem to na końcu języka, tylko że znak nadszedł, zanim zdołałem to wypowiedzieć. Teraz MUSISZ to zrobić, Łamigłótku. I bardzo cię proszę, przestańmy już na ten temat dyskutować. Wiesz przecież, że nie rozumiesz tych spraw. Co osioł może wiedzieć o znakach?



## ROZDZIAŁ 2

### LEKKOMYŚLNOŚĆ KRÓLA

Około trzech tygodni później ostatni z królów Narnii siedział pod wielkim dębem rosnącym obok jego domku myśliwskiego, w którym często zatrzymywał się na jakieś dziesięć dni, ciesząc się piękną, wiosenną pogodą. Była to właściwie niska, pokryta strzechą chata, zbudowana na wschodnich krańcach Latarnianego Pustkowie, nieco powyżej połączenia dwóch rzek. Król lubił takie proste i beztrudne życie, z dala od spraw państwowych i całej dworskiej pompy Ker-Paravelu, królewskiej stolicy. Nazywał się Tirian i miał nieco ponad dwadzieścia lat. W ramionach był mocny i szeroki, mięśnie miał twarde, lecz broda zaledwie mu się sypała. Miał niebieskie oczy i śmiałą, szczerą twarz.

Tego wiosennego ranka towarzyszył mu tylko jego najlepszy przyjaciel, jednorożec Klejnot. Kochali się jak bracia i obaj wielokrotnie ratowali sobie życie na polach bitew. Szlachetne zwierzę stało tuż przy fotelu króla, wdzięcznie wygiąwszy szyję, polerując sobie błękitny róg o kremowobiały bok.

- Nie mogę dzisiaj iść na polowanie lub wziąć się do jakiejś roboty - rzekł król. - Nie potrafię myśleć o niczym innym, jak tylko o tej cudownej nowinie. Myślisz, że jeszcze dzisiaj dowiemy się czegoś więcej?

- To z pewnością najwspanialsza nowina, jaką usłyszano w tym kraju za życia naszego, naszych ojców i dziadów, panie - odpowiedział Klejnot. - Jeżeli jest prawdziwa.

- Jak mogłaby być nieprawdziwa? - zdziwił się król. - Już ponad tydzień temu przyleciały do nas pierwsze ptaki, oznajmiając, że Aslan jest wśród nas, że Aslan znowu przybył do Narnii! A potem przybiegły wiewiórki. Same go nie widziały, ale nie miały najmniejszej wątpliwości, że jest w puszczy. Później zjawił się jelen. Mówił, że widział go na własne oczy, z daleka, w świetle księżyca, na Latarnianym Pustkowie. Potem przybył ten ciemny człowiek z brodą, kupiec kalormeński. Wiesz, że Kalormeńczycy nie przejmują się Aslanem tak jak my, ale ten człowiek mówił o jego pojawieniu się w Narnii jak o rzeczy zupełnie pewnej. A tej nocy przyszedł bóbr; on też widział Aslana.

- Zaprawdę, wierzę w to wszystko, panie mój - rzekł Klejnot. - Jeżeli wyrażam pewne powątpiewanie, to tylko dlatego, że moja radość jest zbyt wielka. To prawie za piękne, aby było prawdziwe.

- Tak - król westchnął, jakby go przeszył dreszcz szczęścia. - To przerasta

wszelkie moje marzenia.

- Posłuchaj! - powiedział Klejnot, przechylając głowę i wystawiając uszy.

- Co to takiego? - zapytał król.

- To tętent kopyt, panie. Galopujący koń. Bardzo ciężki koń. To na pewno jeden z centaurów. Spójrz, już go widać.

Wielki, złotobrody centaur, z ludzkim potem na czole i końskim potem na bokach, podbiegł do króla, zatrzymał się w miejscu i pochylił głowę w ukłonie.

- Witaj, królu! - zawołał głębokim, byczym głosem.

- Hej! - krzyknął król i zaklaskał, rzucając spojrzenie ku drzwiom myśliwskiej chaty. - Czara wina dla szlachetnego centaury! Witaj, Runwidzie! Odsapnij trochę i powiedz nam, z czym przybywasz.

Z chaty wypadł giermek z wielką drewnianą czarą, pokrytą niezwykłym ornamentem. Wręczył ją centaurowi, a ten podniósł ją i rzekł:

- Piję najpierw za Aslana i prawdę, a potem za waszą królewską mość.

Wypił wino (starczyłoby dla sześciu zdrowych mężczyzn) nie odrywając ust od czary i oddał ją paziowi.

- A teraz, Runwidzie - rzekł król - powiedz mi, czy masz jakieś nowe wieści o Aslanie?

Centaur spoważniał i zmarszczył brwi.

- Królu - rzekł - wiesz, jak długo już żyję, badając gwiazdy. My, centaury, żyjemy dłużej niż wy, ludzie, dłużej nawet niż wy, jednorożce. Nigdy, w całym moim życiu, nie widziałem wypisanych na niebie tak strasznych rzeczy jak od początku tego roku. Gwiazdy nie mówią ani o przyjściu Aslana, ani o pokoju, ani o radości. Wiem dość o gwiazdach, aby mieć pewność, że jeszcze nie było tak groźnych koniunkcji planet w ciągu ostatnich pięciuset lat. Właśnie zamierzałem przyjść i ostrzec waszą królewską mość, że nad Narnią zawisło jakieś wielkie nieszczęście, gdy tej nocy doszły mnie wieści o powrocie Aslana. Panie, nie wierz tym pogłoskom. To niemożliwe. Gwiazdy nigdy nie kłamią - kłamią tylko ludzie i zwierzęta. Gdyby Aslan miał naprawdę przybyć, wszystkie najlaskawsze gwiazdy spotkałyby się na jego cześć. To wszystko kłamstwa.

- Kłamstwa! - zawołał król z gniewem. - Czy jest takie stworzenie w Narnii albo i na całym świecie, które ośmieliłoby się kłamać w takiej sprawie? - I bezwiednie położył dłoń na rękojeści miecza.

- Tego nie wiem, panie mój i królu - rzekł Runwid. - Wiem jednak, że na ziemi

są kłamcy, natomiast nie ma ich wśród gwiazd.

- Zastanawiam się - powiedział Klejnot - czy Aslan nie mógłby przybyć, mimo iż gwiazdy tego nie

zapowiadają. On nie jest niewolnikiem gwiazd: jest ich stwórcą. Czyż wszystkie pradawne opowieści nie mówią, że on nie jest oswojonym lwem?

- Dobrze powiedziane, dobrze powiedziane, Klejnocie! - zawołał król. - To są właśnie te słowa: Aslan to nieoswojony lew. Powtarzają się we wszystkich opowieściach.

Runwid podniósł rękę i wychylił się do przodu, chcąc powiedzieć coś ważnego, gdy nagle wszyscy trzej odwrócili głowy na dźwięk zawodzącego głosu, który szybko się do nich przybliżał. Na zachodzie las był tak gęsty, że wciąż nie widzieli, kto tak woła, choć mogli już rozróżnić słowa.

- Biada! Biada! Biada! - zawodził głos. - Biada moim braciom i siostram! Biada świętym drzewom! Pustoszą lasy! Wychodzą na nas z siekierami! Wyrąbują nas! Wielkie drzewa padają, padają, padają!

Jeszcze nie przebrzmiało ostatnie słowo, gdy zobaczyli, kto tak lamentuje. Z lasu wyszła postać tak wysoka, że jej głowa sięgała głowy centaury. Przypominała kobietę, lecz miała w sobie również coś drzewiastego. Bardzo trudno wyjaśnić to komuś, kto nigdy nie widział driady, ale nikt, kto widział jedną z nich choć raz, nie mógłby się pomylić: miała coś specjalnego w barwach, w głosie, we włosach. Król Tirian, jednorożec i centaur od razu poznali nimfę buku.

- Sprawiedliwości, królu! - zawołała. - Stań w naszej obronie! Ratusz swój lud! Wyrąbują nas w całym Latarnianym Pustkowiu. Już czterdzieści wielkich pni moich braci i siostr spoczywa na ziemi.

- Co mówisz, pani? Wyrąbują Latarniane Pustkowie? Mordują mówiące drzewa? - zawołał król wielkim głosem, zrywając się na nogi i dobywając miecza. - Jak śmia?! I kto się ośmielił? Na grzywę Aslana...

- A-a-a-a-a-ach! - ciało driady wzdrygnęło się raz, drugi, trzeci, czwarty, jakby w nie godziły powtarzające się ciosy. A potem upadła, jakby jej ktoś podciął obie nogi. Przez chwilę widzieli ją leżącą martwą na trawie, a potem znikła. Zrozumieli, co się stało. Gdzieś, wiele mil stąd, właśnie ścięto jej drzewo.

Przez jakiś czas, z wielkiego bólu i gniewu, król nie mógł dobyć z siebie głosu. Potem powiedział:

- Chodźmy, przyjaciele. Musimy udać się w górę rzeki i odnaleźć

nikczemników, którzy to uczynili. Idźmy tam tak szybko, jak potrafimy. Żaden z nich nie może ujść z życiem.

- Z największą ochotą, panie! - rzekł Klejnot. Lecz Runwid znów zmarszczył czoło.

- Panie, bądź rozważny w swym słusznym gniewie. Dzieją się dziwne rzeczy. Jeśli w górze rzeki są jacyś uzbrojeni buntownicy, nas trzech nie wystarczy, aby im stawić czoło. Gdybyś zechciał zaczekać, aż...

- Nie będę czekał nawet jednej dziesiątej części sekundy! - zagrział król. - Ja i Klejnot natychmiast wyruszymy w górę rzeki, ale ty pędź co tchu do Ker-Paravelu. Oto mój pierścień. Zbierz mi dwudziestu ludzi pod bronią, samych dobrych jeźdźców. Zbierz dwudziestkę mówiących psów, z dziesięciu karłów, samych dobrych łuczników, ze dwa leopardy i olbrzyma Głazonoga. Poprowadź ich za jeźdźcami tak szybko, jak to możliwe.

- Z największą ochotą, panie! - odpowiedział Runwid i od razu pogalopował doliną na wschód.

Król ruszył w drogę wielkimi krokami, mamrocząc coś do siebie i co chwila zaciskając pięści. Klejnot kroczył obok niego, milcząc, tak że ich pospiesznej wędrówce towarzyszyło tylko lekkie podzwanianie złotego łańcucha na szyi jednoroźca i odgłos dwu stóp i czterech kopyt.

Szybko dotarli do rzeki i po zarośniętej trawą drodze skierowali się w górę jej biegu, mając wodę po lewej stronie, a puszcę po prawej. Wkrótce znaleźli się w okolicy, gdzie teren stawał się bardziej nierówny, a gęsty bór podchodził aż do samej wody. Stąd droga wiodła wzdłuż południowego brzegu i musieli się przeprawić przez rzekę. Woda sięgała Tirianowi do ramion, ale Klejnot (który jako czworonóg pewniej trzymał się piaszczystego gruntu) osłaniał go przed prądem swoim ciałem. Objąwszy go jedną ręką za szyję, król zdołał szczęśliwie przebyć wartką rzekę. Wciąż przepełniał go taki gniew, że nie zwracał uwagi na zimno wiosennych wód, nie zapomniał jednak o pieczołowitym wytarciu miecza kołnierzem płaszcza - jedyną suchą częścią stroju po wyjściu na drugi brzeg.

Wędrowali teraz na zachód, mając rzekę po prawej ręce, a Latarniane Pustkowie przed sobą. Nie uszli nawet mili, gdy obaj jednocześnie stanęli i przemówili.

Król powiedział: „Co to takiego?”, a Klejnot: „Popatrz!”

- To tratwa - rzekł król Tirian.

Rzeczywiście. Po rzece szybko płynęła tratwa z połową tuzina wspaniałych pni, najwyraźniej świeżo ściętych i odartych z kory. Na przedzie siedział szczur wodny z długą tyczką do sterowania tratwą.

- Hej! Wodny szczurze! Co ty tam robisz? - zawołał król.

- Spławiam te drzewa do Kalormenu, panie! - odpowiedział szczur, przykładając rękę do ucha tak, jak gdyby miał na głowie kapelusz.

- Do Kalormenu! - zagrmiał Tirian. - Co to znaczy? Kto wydał rozkaz, by ścinać drzewa?

O tej porze roku prąd był tak silny, że tratwa minęła już króla i jednoroźca. Szczur wodny obejrzał się jednak i krzyknął:

- To rozkaz Lwa, panie, samego Aslana! Dodał coś jeszcze, ale tego już nie zrozumieli. Król i Klejnot spojrzeli po sobie. Jeszcze przed żadną bitwą nie czuli takiego niepokoju jak w tej chwili.

- Aslan - powiedział w końcu Tirian cichym głosem. - Aslan. Czy to możliwe? Czy Aslan mógłby rozkazać wyrąbywać las i mordować driady?

- Chyba że driady zrobiły coś straszliwie złego...

- mruknął Klejnot.

- Ale sprzedawać drewno Kalormeńczykom? Czy to możliwe?

- Nie wiem - odparł jednorożec zrezygowany.

- On nie jest oswojonym lwem.

- No cóż - powiedział król po chwili - musimy iść i stawić czoło tej przygodzie.

- Tylko to nam pozostało, panie - zgodził się jednorożec.

Żaden z nich nie zdawał sobie w tym momencie sprawy z lekkomyślności, jaką okazywali, idąc tylko we dwóch. Niestety, wiele zła miało wyniknąć z tego braku roztropności.

Nagle król objął ramieniem szyję przyjaciela i pochylił głowę.

- Klejnocie - powiedział cicho - co nas czeka? Straszne myśli przychodzą mi do głowy. Zaprawdę, byłoby lepiej, gdybyśmy wczoraj umarli.

- Tak - rzekł Klejnot. - Żyjemy za długo. Nie ma rzeczy gorszej od tego, co nam się przydarzyło.

Stali tak przez chwilę, po czym ruszyli w dalszą drogę.

Teren przed nimi podnosił się i na długo, zanim coś zobaczyli, usłyszeli posępne hak-hak-hak siekier rąbiących drzewa. Kiedy dotarli na szczyt wzniesienia, roztoczył się przed nimi widok na Latarniane Pustkowie. A kiedy król ogarnął je

spojrzeniem, jego twarz zrobiła się biała jak papier.

Przez sam środek prastarej puszczy - tej puszczy, w której niegdyś rosły złote i srebrne drzewa, gdzie pewne dziecię z naszego świata zasadziło kiedyś Drzewo Opieki - otwierała się szeroka droga: ohydny, przypominający świeżą bliznę szlak zniszczenia, pełen błotnistych bruzd znaczących drogę, którą ciągnięto wyrąbane drzewa do Wielkiej Rzeki. Mnóstwo osób uwijało się przy robocie, strzelały bicze, rżały żałośnie konie, ciągnące zbyt ciężkie dla nich pnie. Króla i jednoroźca uderzyło przede wszystkim to, że ponad połowę pracujących stanowili ludzie, a nie mówiące zwierzęta. A poza tym - ci ludzie nie mieli jasnych włosów jak wszyscy Narnijczycy: byli to ciemnoskórzy, brodaci mężczyźni z Kalormenu, wielkiego i znanego z okrucieństwa kraju leżącego daleko na południu - za Archenlandią i za pustynią. Widok jednego czy dwóch Kalormeńczyków - kupca lub posła - nie był w owych czasach w Narnii czymś niezwykłym, ponieważ oba państwa żyły wówczas ze sobą w zgodzie. Tirian nie mógł jednak pojąć, dlaczego jest ich aż tylu i dlaczego wycinają narnijską puszcę. Uchwycił mocno rękojeść miecza i odwinął lewą połą płaszcza. Szybkim krokiem zeszli ku wyrębowi.

Dwóch Kalormeńczyków uwijało się przy koniu zaprzężonym do olbrzymiej kłody. Właśnie w tym momencie, gdy zbliżył się do nich król, kłoda utknęła w grząskim gruncie.

- Dalej, synu leniwca! Ciągnij, ty gnuśna świnió! - wrzeszczeli Kalormeńczycy, strzelając z batów. Koń napierał do przodu z całej siły; oczy nabiegły mu krwią, a boki pokryła piana.

- Ciągnij, ty leniwy bydlaku! - zawołał jeden z ciemnoskórych mężczyzn i z rozmachem uderzył zwierzę batem. I wtedy stało się coś naprawdę okropnego.

Aż do tego momentu Tirian był przekonany, że konie używane przez Kalormeńczyków przy wyrębie są ich własnymi końmi, niemymi, otępiałymi zwierzętami, jak konie w naszym świecie. I chociaż skóra mu cierpła na widok bezmyślnego dręczenia przeciążonego zwierzęcia, w tej chwili myślał przede wszystkim o tym, że giną mówiące drzewa. Nawet mu na myśl nie przyszło, by ktokolwiek śmiał zaprząć jednego z narnijskich mówiących koni, a tym bardziej uderzyć go batem. Ale gdy okrutny cios spadł, koń zarżał dziko i zawołał, prawie wyjąc z bólu:

- Głupcze i tyranie! Czy nie widzisz, że robię wszystko, na co mnie stać?

Kiedy Tirian zrozumiał, że koń jest jednym z jego umiłowanych poddanych,

opanovała go taka wściekłość, że nie wiedział już, co czyni. Miecz króla uniósł się w górę, róg jednorożca pochylił się w dół. Uderzyli jednocześnie. W następnej chwili obaj Kalormeńczycy leżeli martwi: jeden bez głowy, drugi z dziurą w piersiach.

### ROZDZIAŁ 3

#### MAŁPA W PEŁNI CHWAŁY

PANIE KONIU! PANIE KONIU! - zawołał Tirian, gdy tylko przeciął uprząż. - Jak to się stało, że ci cudzoziemcy cię zniewolili? Czy Narnia została zaatakowana? Czy była jakaś bitwa?

- Nie, panie - odparł koń, dysząc ciężko. - Aslan powrócił. To wszystko dzieje się z jego polecenia. Aslan rozkazał...

- Strzeżmy się, panie! - powiedział Klejnot. Tirian spojrzał i zobaczył, że ze wszystkich stron pędzą ku nim Kalormeńczycy, a wraz z nimi trochę mówiących zwierząt. Dwaj mężczyźni zginęli nie zdążywszy wydać okrzyku, tak że reszta zorientowała się w sytuacji dopiero po chwili. Ale teraz wiedzieli już dobrze, co się stało. Większość wymachiwała krzywymi szablami.

- Szybko! Na mój grzbiet - powiedział Klejnot.

Król wskoczył na grzbiet swego przyjaciela, który zwrócił w miejscu i ruszył galopem. Gdy tylko stracili z oczu pogoń, jednorożec zmienił kilka razy kierunek, przebył jakiś strumień i zawołał, nie zwalniając biegu:

- Dokąd, panie? Do Ker-Paravelu?

- Zatrzymaj się, przyjacielu - rzekł król. Ześliznął się z białego grzbietu jednorożca i stanął przed nim.

- Klejnocie - rzekł - uczyniliśmy rzecz straszną.

- Zostaliśmy brutalnie sprowokowani - odpowiedział Klejnot.

- Ale tak skoczyć na nich, nie spodziewających się niczego... bez ostrzeżenia... gdy nie mieli broni w ręku... tfu! Jesteśmy mordercami, Klejnocie. Pozbawiłem się honoru na zawsze.

Klejnot spuścił głowę. On też odczuwał głęboki wstyd.

- I w dodatku - powiedział król - ten koń mówił, że to z rozkazu Aslana. Szczur mówił to samo. Wszyscy twierdzą, że Aslan powrócił. A jeśli to prawda?

- Ależ, panie mój, jak Aslan mógłby rozkazać coś tak okropnego?

- On nie jest OSWOJONYM lwem. Skąd możemy wiedzieć, co jest według niego słuszne, a co nie? My, mordercy. Klejnocie, mój przyjacielu, ja wracam. Złożę swój miecz, oddam się w ręce tych Kalormeńczyków i poproszę, aby mnie zaprowadzili przed oblicze Aslana. Niech od razu wymierzy mi sprawiedliwość.

- A więc pójdiesz na spotkanie śmierci - rzekł ze smutkiem jednorożec.

- Czy sądzisz, że dbam o to, jeśli taki będzie wyrok Aslana? Przecież taka śmierć



nie ma żadnego znaczenia. Czyż nie lepiej umrzeć niż czuć straszliwy

lęk, że oto Aslan powrócił, lecz wcale nie jest podobny do Aslana, w którego wierzyliśmy i za którym tak długo tęskniliśmy? To tak, jakby pewnego dnia wzeszło słońce i okazało się słońcem czarnym.

- Tak - powiedział cicho Klejnot. - Albo jakby się chciało napić wody, a ona okazała się sucha. Masz rację, panie. To już koniec. Pójdźmy tam i oddajmy się w ich ręce.

- Nie ma potrzeby, byśmy szli obaj.

- Jeżeli naprawdę łączy nas miłość - rzekł jednorożec - to pozwól mi iść z tobą. Jeśli zginiesz, a Aslan nie okaże się Aslanem, cóż warte będzie moje życie?

Zawrócili i poszli ramię przy ramieniu, roniąc gorzkie łzy.

Gdy tylko pojawili się na skraju wyrębu, Kalormeńczycy zawyli dziko i rzucili się na nich z bronią w rękach. Ale król wyciągnął ku nim rękojeść swego miecza i rzekł:

- Ja, który byłem królem Narnii, a teraz jestem tylko zhańbionym rycerzem, oddaję się pod sąd Aslana. Zaprowadźcie mnie do niego.

- I ja poddam się również - dodał Klejnot. Posępni mężczyźni otoczyli ich zwartym tłumem.

Cuchnęli czosnkiem i cebulą, a białka ich oczu połyskiwały groźnie w brązowych twarzach. Założyli jednorożcowi sznur na szyję, a królowi odebrali miecz i związali ręce na plecach. Jeden z nich, w hełmie zamiast turbanu, sprawiający wrażenie dowódcy, zerwał z głowy Tiriana złoty diadem i pospiesznie ukrył w swoich szatach. Poprowadzili więźniów na ogołoczone z drzew wzgórze. A oto, co tam ujrzeli.

W środku wyrębu, na szczycie wzgórza, stała niewielka, przypominająca stajnię chatka ze słomianym dachem i z zamkniętymi drzwiami. Przed chatą na trawie siedziała małpa. Tirian i Klejnot, którzy spodziewali się zobaczyć Aslana i nie słyszeli jeszcze o małpie, zdumieni się na jej widok. Małpą był, oczywiście, Krętacz we własnej osobie, tyle że wyglądał teraz dziesięć razy brzydziej niż wówczas, gdy mieszkał nad Kotłem, bo ubrano go w szkarłatny surdut, niezbyt dopasowany, jako że szyty na karła. Na nogach miał ozdobione drogimi kamieniami pantofle, nie leżące zbyt dobrze, bo - jak wiecie - stopy małpy bardziej przypominają ręce. Na głowie tkwiło mu coś w rodzaju korony z papieru. Obok piętrzył się stos orzechów, z którego co jakiś czas brał do ust jeden, rozgryzał z trzaskiem i wypluwał łupiny gdzie popadnie. W dodatku raz po raz zadzierał poły szkarłatnego surduta, żeby się podrapać. Przed

szympansem stała spora grupa mówiących zwierząt, na każdej twarzy malował się strach i oszołomienie. Kiedy ujrzano, kim są jeńcy, rozległy się piski i skowyty.

- O wielki Krętaczu, Rzeczniku Aslana - powiedział dowódca Kalormeńczyków - przyprowadziliśmy ci jeńców. Dzięki naszej zręczności i odwadze, a także z woli wielkiego Tasza, wzięliśmy żywcem tych morderców.

- Dajcie mi miecz tego człowieka - rzekł Krętacz.

Podali mu więc miecz króla wraz z pochwą i pasem, a szympanś zawiesił go sobie na szyi, co sprawiło, że wyglądał jeszcze głupiej niż przedtem.

- Później postanowimy, co z nimi zrobić - powiedział, wypluwając łupinę w stronę więźniów. - Mam teraz co innego na głowie. Oni mogą poczekać. A wy wszyscy słuchajcie mnie. Najpierw chcę powiedzieć coś na temat orzechów. Gdzie się podział wódz wiewiórek?

- Tu jestem, panie - odezwała się czerwona wiewiórka, występując z tłumu i składając nerwowy ukłon.

- Ach, więc to ty, tak? - Szympanś rzucił na nią nieprzyjemne spojrzenie. - A więc słuchaj uważnie. Chcę... to znaczy Aslan chce... więcej orzechów. To, co mi przyniesiono, zakrawa na kpinę. Musicie przynieść więcej, rozumiesz? Dwa razy tyle. Mają tu leżeć przed jutrzejszym zachodem słońca i żeby mi nie było wśród nich małych i pustych.

W gromadzie wiewiórek rozległ się pomruk przerażenia. Wódz zebrał całą swą odwagę i powiedział:

- Czy możemy usłyszeć to polecenie z ust samego Aslana? Gdyby zechciał nas przyjąć...

- Ale nie zechce - uciął Krętacz. - Okaże wam wielką łaskę, choć i tak większość z was wcale na to nie zasługuje, i wyjdzie na kilka minut wieczorem. Wtedy wszyscy go zobaczycie. Nie będzie jednak żadnego tłoczenia się wokół niego i męczenia waszymi przyziemnymi sprawami. Jeśli ktoś chce coś mu powiedzieć, może to uczynić za moim pośrednictwem. Ja zdecyduję, czy sprawa zasługuje na to, by zaprzętać jego uwagę. A tymczasem lepiej będzie, jeśli wszystkie wiewiórki natychmiast pójdą po orzechy. I radzę wam, żeby leżały tu do jutrzejszego wieczora, bo, daję słowo, gorzko tego pożałujecie.

Biedne wiewiórki rozbiegały się w popłochu, jakby je gonił pies. Nowy rozkaz był dla nich ciężkim ciosem. Zjadły już prawie wszystkie orzechy, jakie zdołały zebrać na zimę, a z tego, co im pozostało, dały szympanśowi o wiele więcej, niż mogły, by

przeżyć do lata.

Wtem z tłumu rozległ się głęboki, niski głos należący do włochatego dzika z wielkimi kłami:

- Ale DLACZEGO nie możemy zwyczajnie zobaczyć Aslana i porozmawiać z nim? Kiedy pojawiał się w Narnii za dawnych czasów, każdy mógł z nim mówić twarzą w twarz.

- Nie wiercie w to - odparł szympans. - A nawet jeśli kiedyś tak było, to teraz czasy są inne. Aslan mówi, że okazywał wam zbyt wiele łagodności i że zamierza to zmienić. Tym razem chce was trochę okrzesać. Tym razem nauczy was wreszcie, że nie jest oswojonym lwem!

Tłum zwierząt wybuchnął długimi zawodzeniami, piskami i skomleniami, a potem zaległa głęboka cisza, bardziej ponura od lamentów.

- Jest jeszcze coś, co musicie sobie wbić do głów

- ciągnął szympans. - Jak słyszałem, niektórzy z was mówią, że jestem małpą. Otóż nie jestem żadną małpą. Jestem człowiekiem. Jeśli wyglądam jak małpa, to tylko dlatego, że jestem bardzo stary. Żyję już na tym świecie setki lat. I właśnie dlatego, że jestem taki stary, jestem bardzo mądry. A ponieważ jestem taki mądry, Aslan chce rozmawiać tylko ze mną i z nikim więcej. Tłum głupich zwierzaków nie będzie zawracać mu głowy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, powie mi, co macie robić, a ja wam to przekażę. A wtedy, radzę wam po dobroci, róbcie to szybko, bo Aslan nie zamierza dłużej znosić żadnych bzdur!

Głuchą ciszę przerywał tylko płacz małego borsuka i głos jego matki próbującej go uspokoić.

- Na tym nie koniec. Jeszcze o jednej sprawie chcę wam powiedzieć kilka słów - mówił dalej szympans, wsadzając sobie nowy orzech do ust. - Słyszałem, jak niektóre konie mówią: pospieszmy się i skończmy tę robotę przy wycinaniu drzew jak najszybciej, bo wówczas znowu będziemy wolne. Otóż możecie od razu wybić to sobie z łbów. I dotyczy to nie tylko koni. Każdy, kto jest zdolny do pracy, będzie pracować

- teraz i w przyszłości. Aslan uzgodnił to z królem Kalormenu, Tisrokiem, jak nazywają go nasi ciemnoskórzy przyjaciele. Wszystkie konie, byki i osły zostaną posłane do Kalormenu, aby na siebie pracować, ciągnąc i nosząc na grzbiecie ciężary, jak to robią konie i im podobne zwierzęta w innych krajach. A wszystkie zwierzęta kopiące i ryjące, jak krety, króliki czy karły, pójdą do pracy w kopalniach Tisroka. A...

- Nie, nie - zaskowyczały zwierzęta. - To nie może być prawda. Aslan nigdy by

nas nie sprzedał w niewolę królowi Kalormenu.

- Co za bzdury! Przestańcie wrzeszczeć! - zawołał szympans opryskliwie. - Kto tu mówi o niewoli? Wcale nie będziecie niewolnikami. Dostaniecie zapłatę, i to bardzo dobrą. Wasze zarobki będą wpłacane do skarbu Aslana, a on użyje ich dla dobra wszystkich.

Tu spojrział wymownie, prawie puszcżając oko, na wodza Kalormeńczyków. Ten skłonił się i przemówił w kwiecistym kalormeńskim stylu:

- Wasza czcigodna przemądrzałość, Rzeczniku Aslana! Tisrok, oby żył wiecznie, całkowicie i jednomyślnie popiera waszą czcigodność w tym rozsądnym planie.

- No proszę! Widzicie? - powiedział szympans z zadowoleniem. - Wszystko jest uzgodnione. I wszystko to dla waszego dobra. Dzięki pieniądżom, jakie zarobicie, będziemy mogli uczynić Narnię krajem naprawdę wartym tego, by w nim żyć. Będziemy mieli mnóstwo pomarańczy i bananów. Będziemy mieli drogi, wielkie miasta, szkoły, urzędy, baty, wędzidła, siodła, klatki, psie budy, więzienia, och, będziemy mieli wszystko, czego dusza zapagnie.

- Ale my wcale nie chcemy tego wszystkiego - odezwał się stary niedźwiedź. - Chcemy być wolni. I chcemy usłyszeć samego Aslana.

- Nie zaczynaj zbędnych dyskusji - uciał szympans - bo to jest coś, czego nie znoszę. Jestem człowiekiem, a ty jesteś tylko tłustym, głupim niedźwiedziem. Co ty w ogóle wiesz o wolności? Myślisz, że wolność to robienie tego, co ci się podoba? Dowiedz się, że jesteś w błędzie. To wcale nie jest prawdziwa wolność. Prawdziwa wolność polega na tym, że będziesz robić to, co ja ci powiem.

- H-n-n-h - chrząknął niedźwiedź i podrapał się po głowie, ponieważ w żaden sposób nie mógł pojąć tego, co usłyszał.

- Proszę o głos! - zabeczało nagle cienkim głosem wełniste jagnię, tak młode, że wszystkich zdumiała jego śmiałość.

- Co tam znowu? - zapytał szympans. - Mów, tylko szybko.

- Proszę mi darować, ale nie mogę zrozumieć. Co my mamy wspólnego z Kalormeńczykami? My należymy do Aslana - oni do Tasza. Mówią, że Tasz ma cztery ręce i głowę szakala. Na jego ołtarzu zabijają ludzi. Nie wierzę, żeby istniał ktoś taki jak Tasz, ale gdyby nawet istniał, jak Aslan mógłby być jego przyjacielem?

Wszystkie zwierzęta odwróciły głowy i spojrzały bacznie na szympansa, bo było to najlepsze z pytań, jakie dotychczas zadano. Krętacz podskoczył i splunął w stronę jagnięcia.

- Głupi, zarozumiały brzdącu! - wrzasnął piskliwie. - Idź do mamy i napij się mleka. Co ty możesz pojąć z takich spraw? Ale wy wszyscy - posłuchajcie! Tasz to tylko inne imię Aslana. Te wszystkie stare bajdy, że niby to my mamy rację, a Kalormeńczycy się mylą, to najczystsza głupota. Teraz wiemy już lepiej, jak się to wszystko przedstawia. Kalormeńczycy używają tylko innych słów, ale i nam, i im chodzi o to samo. Tasz i Aslan to tylko dwa imiona - wiecie dobrze Kogo. Dlatego między nimi a nami nigdy nie może być żadnej różnicy zdań. Wbijcie sobie to do głów, tępe zwierzaki. Tasz jest Aslanem. Aslan jest Taszem.

Wiecie, jak ponurą minę może mieć czasem wasz pies. Pomyślcie o tym, a potem wyobraźcie sobie twarze mówiących zwierząt: wszystkich tych uczciwych, pokornych, oszołomionych ptaków, niedźwiedzi, dzików, borsuków, królików, kretów i myszy. Wszystkie miały miny o wiele bardziej ponure niż wasz pies. Wszystkie ogony opadły, wszystkie wąsy zwieszały się smutno. Gdybyście zobaczyli te twarze, pękłoby wam serce z żalu. A wśród tego ponurego tłumu tylko jedno zwierzę wcale nie wyglądało na zmartwione.

Był to rudy kot, wielki kocur w kwiecie wieku, siedzący w pierwszym rzędzie z dumnie podniesioną głową, z ogonem zwiniętym schludnie wokół łap. Wpatrywał się uparcie w szympansa i wodza Kalormeńczyków, nie mrugnąwszy ani razu powieką.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się teraz z wyszukaną uprzejmością - ale to mnie bardzo interesuje. Czy twój przyjaciel z Kalormenu myśli tak samo?

- Nie ulega najmniejszej wątpliwości - rzekł Kalormeńczyk - że ten oświecony szympans... to znaczy człowiek... ma całkowitą rację. ASLAN to ni mniej, ni więcej, tylko to samo co TASZ.

- A więc Aslan nie znaczy WIĘCEJ niż Tasz? - zapytał kot z naciskiem.

- W żadnej mierze - odpowiedział Kalormeńczyk, patrząc kotu prosto w twarz.

- Czy to ci wystarczy, Imbirze - zapytał Krętacz.

- Och, z pewnością - odrzekł chłodno kot. - Bardzo dziękuję za odpowiedź. Chciałem się tylko upewnić. Myślę, że zaczynam wszystko rozumieć.

Aż do tej chwili król i Klejnot milczeli, czekając, aż szympans sam każe im mówić, ponieważ uważali, że nie ma sensu mu przerywać. Ale teraz, gdy Tirian spojrział na nieszczęśliwe twarze swoich poddanych i zrozumiał, że skłonni są już uwierzyć we wszystko, nawet w to, iż Aslan i Tasz to jedna osoba, nie mógł dłużej wytrzymać.

- Małpo! - zawołał wielkim głosem. - Kłamiesz! To wszystko przekłete

kłamstwa. Kłamiesz jak Kalormeńczyk. Kłamiesz jak każda małpa!

Zamierzał mówić dalej i zapytać, w jaki sposób okrutny bóg Tasz, żywiący się krwią swego ludu, może być tą samą osobą co dobry Lew, którego krew wybawiła całą Narnię. Gdyby mu pozwolono mówić, panowanie szympansa skończyłoby się jeszcze tego samego dnia, zwierzęta dostrzegłyby prawdę i powstały przeciw kłamcy. Ale zanim wypowiedział następne słowo, dwóch Kalormeńczyków uderzyło go pięściami w usta, a trzeci podciął mu z tyłu nogi. Gdy upadł, Krętacz zaskrzeczał wściekłym i przerażonym głosem:

- Zabrać go! Zabrać go! Zabierzcie go gdzieś, gdzie nie będzie mógł słyszeć nas, a my jego. Przywiążcie go do drzewa. Osądzę go... to znaczy Aslan go osądzi... w innym czasie.

## ROZDZIAŁ 4 CO STAŁO SIĘ TEJ NOCY

KRÓL, OSZOŁOMIONY CIOSAMI i powaleniem na ziemię, nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Odzyskał świadomość dopiero wówczas, gdy Kalormeńczycy rozwiązali mu ręce, przycisnęli brutalnie plecami do pnia jesionu i owinęli mocno grubym sznurem. Sznur wpijał mu się boleśnie w kostki u nóg, w kolana, pas i pierś, ale najbardziej przeszkadzało mu w tej chwili co innego: nieznośnie swędząca strużka krwi z rozciętej wargi. Tak już często bywa, że najtrudniej znieść drobne przykrości.

Ze swojego miejsca wciąż widział stajnię na szczycie wzgórza i siedzącego przed nią szympansa. Słyszał nawet jego głos i od czasu do czasu odpowiedzi z tłumu Narnijczyków, ale nie mógł zrozumieć słów.

„Bardzo bym chciał wiedzieć, co zrobili z Klejnotem”, myślał król.

W końcu w tłumie zapanowało ogólne poruszenie i po chwili wszyscy zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach. Część zwierząt przeszła obok przywiązanego do drzewa Tiriana. Patrzyły na niego z przerażeniem i współczuciem, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Wkrótce wszyscy zniknęli i w lesie zapanowała cisza. A potem godzina za godziną mijały i Tirian poczuł najpierw okropne pragnienie, później dotkliwy głód, a gdy nadszedł zmierzch - dojmujący chłód. Rozbolały go plecy. Słońce zaszło i zapadł wieczór.

Kiedy było już prawie zupełnie ciemno, Tirian usłyszał delikatny odgłos miękkich łapek i ujrzał zbliżającą się ku niemu grupkę małych stworzeń. Po lewej stronie kroczyły trzy myszy, w środku królik, po prawej dwa krety. Te ostatnie niosły na plecach niewielkie worki, tak że w pierwszej chwili król nie mógł się zorientować, co to za stworzenia. Zwierzęta otoczyły króla, oparły swoje chłodne łapki na jego kolanach i złożyły na nich sapiące, zwierzęce pocałunki. (Mogły bez trudu dosięgnąć kolan króla, bo narnijskie mówiące zwierzęta są większe od niemych zwierząt tych samych gatunków w Anglii.)

- Królu, panie nasz! Miłościwy panie! - przemówiły cienkimi głosikami. - Bardzo nam ciebie żal. Nie śmiemy cię rozwiązać, bo Aslan bardzo by się gniewał. Ale przyniosłyśmy ci kolację.

I natychmiast jedna mysz wspięła się zwinnie po ubraniu Tiriana, usadowiła na sznurze, który oplatał jego pierś, i zmarszczyła swój tępy nos tuż przed jego twarzą. Potem druga mysz wspięła się i zawisła pod pierwszą. Reszta zwierząt zaczęła im

podawać różne rzeczy.

- Najpierw się napij, wasza królewska mość, a zobaczysz, że odzyskasz apetyt - powiedziała pierwsza mysz i Tirian spostrzegł, że przystawiono mu do ust maleńką drewnianą czarę, nie większą niż skorupka od jajka, tak że prawie nie poczuł smaku wina. Ale gdy ją opróżnił, mysz przesłała czarę z powrotem na ziemię, gdzie ją ponownie napełniono i podano w górę. W ten sposób po jakimś czasie zupełnie nieźle zaspokoił pragnienie, zwłaszcza że zwykle lepiej się to robi, gdy pije się małymi porcjami, niż wypijając wszystko duszkiem.

- Tu jest trochę sera, najjaśniejszy panie - powiedziała pierwsza mysz - ale nie za dużo, bo później chciałoby ci się pić.

Po serze nakarmiono go owsianymi ciasteczkami ze świeżym masłem, a na zakończenie znowu podano mu trochę wina.

- A teraz dajcie mi tu wody - powiedziała pierwsza mysz. - Umyję królowi twarz. Widzę na niej krew.

Po chwili Tirian poczuł na twarzy chłodną gąbkę. Bardzo go to orzeźwiło.

- Moi mali przyjaciele - rzekł - jakże mam wam dziękować za to wszystko?

- Wcale nie musisz dziękować, panie - odpowiedziały ciche głosiki. - Przecież nie mogłyśmy postąpić inaczej. MY nie chcemy żadnego innego króla. Jesteśmy twoimi poddanymi. To tylko szympans i Kalormęczycy nastają na twe życie i honor. Walczyłybyśmy z nimi do ostatniej kropli krwi i prędzej dałybyśmy się posiekać na kawałki, niż pozwoliłybyśmy im ciebie związać. Ale nie możemy przecież walczyć przeciw Aslanowi.

- Myślicie, że to naprawdę Aslan? - zapytał król.

- Ależ tak, oczywiście - odrzekł królik. - Zeszłej nocy wyszedł z szopy. Wszyscy go widzieliśmy.

- Jak on wygląda?

- Jak straszny, wielki lew - odpowiedziała jedna z myszy.

- I myślicie, że to naprawdę Aslan zabija leśne nimfy i sprzedaje was w niewolę królowi Kalormenu?

- Tak, to jest straszne - powiedziała druga mysz. - Lepiej byłoby umrzeć, zanim to wszystko się zaczęło. Ale nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wszyscy mówią, że to są rozkazy Aslana. I widzieliśmy go. Nie sądziliśmy, że Aslan taki będzie. Przecież... przecież my tak za nim tęskniliśmy!

- Zdaje się, że tym razem wrócił bardzo rozgniewany - dodała pierwsza mysz. -



Musieliśmy wszyscy zrobić coś bardzo złego. Aslan na pewno przyszedł, żeby nas za to ukarać. Ale mógłby nam chociaż powiedzieć za co!

- Zdaje mi się, że to, co teraz robimy, też może być złe - odezwał się królik.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział zapalczywie jeden z kretów. - Zrobiłbym to jeszcze raz.

- Cicho! Bądź ostrożny! - uciszyły go głosy innych. - Bardzo nam, miłościwy panie, przykro, ale musimy już wracać. Co by to było, gdyby nas tu przyłapano.

- Idźcie zaraz, moje kochane zwierzęta - rzekł Tirian. - Za całą Narnię nie chciałbym sprowadzić nieszczęścia na żadne z was.

- Dobranoc, dobranoc - zapiszczały, pocierając nosami jego kolana. - Wrócimy tu, jak będziemy mogły.

A potem wszystkie czmychnęły cicho w ciemność i las zrobił się jeszcze bardziej pusty i zimny niż przedtem.

Zapłonęły gwiazdy i czas mijał wolno - wyobraźcie sobie tylko jak wolno! - podczas gdy król stał w ciasnych więzach pod drzewem, zeszywniały i obolały. Lecz w końcu coś się wydarzyło.

W oddali pojawiło się czerwone światełko. Potem znikło na chwilę i znowu zapłonęło, tym razem większe i silniejsze. Później król ujrzał ciemne sylwetki uwijające się tu i tam w czerwonym blasku: przynosiły jakieś ciężary i zrzucały je na ziemię. Po chwili zrozumiał, na co patrzy. Było to ognisko, do którego znoszono wielkie wiązki drzewa. Teraz rozgorzało wielkim płomieniem; rozpalono je na samym szczycie wzgórza. Tirian widział oblaną czerwonym blaskiem Stajnię, a pomiędzy sobą i ogniskiem - tłum zwierząt i ludzi. Tuż przy ogniu garbił się dziwacznie szympans. Mówił coś do tłumu, lecz Tirian nie słyszał słów. Potem szympans podszedł do drzwi i wówczas ze Stajni wyszło coś czworonożnego - coś, co kroczyło dość sztywno - i stanęło przed tłumem.

Rozległ się ryk, skowyt i zawodzenie tak głośnie, że król zrozumiał tylko parę słów.

- Aslan! Aslan! - wołały zwierzęta. - Przemów do nas! Pociesz nas! Przestań się na nas gniewać!

Z tej odległości Tirian nie mógł przyjrzeć się dokładnie temu stworzeniu, widział tylko, że jest żółte

i włochate. Nigdy nie widział Wielkiego Lwa. Prawdę mówiąc, nigdy nie widział

nawet zwykłego lwa. Nie miał pewności, czy to, co widzi, nie jest rzeczywiście prawdziwym Aslanem. Nie spodziewał się też, że Aslan może wyglądać tak jak to niezgrabne stworzenie, stojące bez słowa przed tłumem. Skąd jednak mógł wiedzieć na pewno? Przemknęły mu przez głowę straszne myśli, ale zaraz przypomniał sobie tę bzdurę, że Tasz i Aslan to jedna osoba. Nie, to wszystko musi być oszustwem.

Szympanś zbliżył teraz ucho do głowy żółtego stworzenia, jakby słuchał tego, co ono mu szeptem. Potem odwrócił się do tłumu i przemówił, a tłum znów wybuchnął żalonym lamentem. Żółte stworzenie odwróciło się niezgrabnie i powróciło - można by prawie powiedzieć: pokuśtykało - do Stajni, a szympanś zamknął za nim drzwi. Zgaszono ognisko, bo czerwony blask nagle zniknął, i Tirian został sam w chłodzie i ciemności.

Myślał o innych królach, którzy żyli i zmarli w Narnii w dawnych czasach, i doszedł do wniosku, że żaden z nich nie był tak nieszczęśliwy jak on. Wspominał pradziada swego pradziada, króla Riliana, porwanego przez Czarownicę, gdy był jeszcze młodym królewiczem, i więzionego przez nią w mrocznych jaskiniach pod krainą Północnych Olbrzymów. Ale wszystko dobrze się skończyło, bo gdzieś z zaświatów przybyło nagle dwoje tajemniczych dzieci i uwolniło go, tak że mógł wrócić do Narnii i panować w niej długo i szczęśliwie. „Tak, ale ze mną jest inaczej”, westchnął z żalem. Potem sięgnął myślami jeszcze wcześniej i przypomniał sobie dzieje ojca Riliana, Kaspiana Żeglarza, którego chciał zamordować niegodziwy wuj, król Miraż, i jak Kaspian uciekł do lasu i żył pośród karłów. Ale i ta historia zakończyła się szczęśliwie, bo i jemu pomogły dzieci - tym razem czworo - które przybyły z innego świata, zwyciężyły w wielkiej bitwie i osadziły go na tronie jego ojca. „Tak, ale to było dawno, dawno temu”, pomyślał z żalem. „Takie rzeczy dziś już się nie zdarzają”. A potem wspominał (bo od najmłodszych lat zawsze interesował się historią), jak ta sama czwórka dzieci, która pomogła Kaspianowi, przebywała w Narnii ponad tysiąc lat temu i dokonała wówczas najbardziej zadziwiających, wielkich czynów. Te dzieci zwyciężyły straszną Białą Czarownicę i zakończyły erę Stuletniej Zimy, a potem panowały długo (wszyscy czworo razem) w Ker-Paravelu i nie były już dziećmi, lecz mężnymi królami i umiłowanymi królowymi, a ich panowanie nazwano później Złotym Wiekiem Narnii. I Aslan często pojawiał się w tej i we wszystkich innych starych opowieściach, jakie Tirian pamiętał. „Aslan i dzieci z innego świata”, pomyślał. „Zawsze pojawiali się w najgorszych, najbardziej beznadziejnych chwilach. Och, gdyby tak się stało i teraz!”

I zawołał:

- Aslanie! Aslanie! Aslanie! Przybądź i udziel nam pomocy!

Ale odpowiedziała mu tylko cisza, niezmienna ciemność i chłód.- Nie proszę o swoje życie! - zawołał król. - Niech zginę! Przyjdź i wybaw całą Narnię!

Ale noc i las wciąż były takie same, natomiast coś zmieniło się w samym Tirianie. Nawet sobie tego w pełni nie uświadamiał, lecz zaczął odczuwać słabą nadzieję i jakby przyływ siły. „Och, Aslanie, Aslanie”, szeptał do siebie, „jeśli nie przyjdiesz sam, ześlij nam chociaż pomoc z zaświatów”. A potem, nie wiedząc prawie, co czyni, zawołał wielkim głosem:

- Dzieci! Dzieci! Przyjaciele Narnii! Prędko! Przybywajcie! Wzywam was poprzez wszystkie światy, wzywam was, ja, Tirian, Król Narnii, Pan na Ker-Paravelu, Cesarz Samotnych Wysp!

I natychmiast zapadł w sen (jeśli to był sen), najbardziej żywy ze wszystkich, jakie dotąd miał. Wydało mu się, że stoi w jasno oświetlonej komnacie, w której wokół okrągłego stołu siedzi siedmioro ludzi. Dwoje z nich - mężczyzna z białą brodą i kobieta z mądrymi, wesołymi oczami - było bardzo wiekowych. Miejsce po prawej stronie starca zajmował chłopiec, z pewnością młodszy od Tiriana, ale z twarzą króla i rycerza. Podobnie wyglądał inny młodzieniec, po prawej ręce starej kobiety. Twarzą do Tiriana siedziała jasnowłosa dziewczyna, młodsza od dwóch młodzieńców, a po obu jej rękach - chłopiec i dziewczynka jeszcze młodszy niż ona. Ich stroje wydały się Tirianowi bardzo dziwaczne.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad takimi szczegółami, bo nagle najmłodszy chłopiec i obie dziewczynki zerwali się z miejsc, a jedno z nich wydało z siebie cichy jęk. Stara kobieta wzdrygnęła się i wstrzymała oddech. Starzec musiał również zrobić jakiś gwałtowny ruch, bo kielich z winem, który stał tuż przy jego prawej ręce, spadł na podłogę. Tirian usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

Wówczas zdał sobie sprawę, że ci ludzie go widzą: wpatrują się w niego, jakby zobaczyli ducha. Zauważył jednak, że młodzieniec o królewskiej twarzy, siedzący po prawej ręce starca, nawet nie drgnął (choć poblebł bardzo), tylko zacisnął mocno pięść, a po chwili rzekł:

- Jeśli nie jesteś zjawą lub snem, przemów! Wyglądasz na Narnijczyka, a my wszyscy jesteśmy przyjaciółmi Narnii.

Tirian bardzo chciał przemówić. Próbował wykrzyknąć, że jest królem Narnii, który znalazł się w wielkiej potrzebie. Stwierdził jednak (jak to zdarza się w snach), że

nie może wydobyć z siebie głosu.

Ten, który odezwał się do niego, powstał.

- Cieniu lub duchu, lub kimkolwiek jesteś - rzekł, wpatrując się w Tiriana - jeśli przychodzisz z Narnii, w imię Aslana, wzywam cię, przemów! Jestem Wielki Król Piotr.

Komnata zaczęła się kołysać w oczach Tiriana. Słyszał głosy siedmiorga ludzi, mówiących coś jednocześnie, ale wszyscy stawali się coraz bardziej bladzi i niewyraźni. Doszły do niego okrzyki: „Patrzcie! Blednie!”, „Rozpływa się!”, „Znika!” W następnej chwili, już zupełnie rozbudzony, wciąż stał przywiązany do drzewa, zziębnięty i odrętwiały. Las napełniało blade, posępne światło, zapowiadające wschód słońca. Ubranie miał mokre od rosy. Zbliżał się świt.

To przebudzenie należało chyba do najgorszych w jego życiu.

## ROZDZIAŁ 5

### POMOC DLA KRÓLA

Żalosa chwila nie trwała jednak długo. Prawie natychmiast ziemia zatrzęsła się raz, potem drugi - i oto stało przed nim dwoje dzieci. Jeszcze sekundę wcześniej widział przed sobą zupełnie pusty las, wiedział też, że nie mogły nadejść zza drzewa, boby je usłyszał. Po prostu pojawiły się znikąd. Od razu spostrzegł, że mają na sobie takie same dziwaczne i brzydkie stroje jak ludzie z jego snu, a gdy popatrzył dłużej, zrozumiał, że stoi przed nim najmłodszy chłopiec i najmłodsza dziewczynka spośród siedmiorga ludzi przy okrągłym stole.

- Ojej! - zawołał chłopiec. - Aż dech zapiera! Myślałem, że...

- Szybko, rozwiążmy go! - przerwała mu dziewczynka. - O tym pomówimy później. - A potem zwróciła się do Tiriana: - Wybacz nam, że trwało to tak długo. Przybyliśmy, jak tylko stało się to możliwe.

Gdy mówiła, chłopiec wyjął z kieszeni nóż i szybko rozcinał więzy króla; prawdę mówiąc, trochę za szybko, bo Tirian tak zeszywniał i zdrętwiał, że kiedy puścił ostatni sznur - upadł na ręce i kolana. Dopiero gdy roztarł mocno nogi, poczuł, że krew znów zaczyna w nich krążyć.

- Hej! - zawołała dziewczynka. - Czy to nie ty pojawiłeś się tego wieczoru, kiedy siedzieliśmy wszyscy razem przy kolacji? Jakiś tydzień temu...

- Tydzień, piękna panienko? - zdumiał się Tirian. - Mój sen zawiódł mnie do waszego świata zaledwie dziesięć minut temu.

- To ten zwykły zamęt z czasem, Julio - powiedział chłopiec.

- Teraz sobie przypominam - rzekł król. - Mówią o tym wszystkie dawne opowieści. W waszym dziwnym świecie czas biegnie inaczej niż w naszym. Ale jeśli już mówimy o czasie, to mamy go naprawdę niewiele. Moi wrogowie są blisko. Czy pójdziecie ze mną?

- Oczywiście - odpowiedziała dziewczynka. - Przecież przybyliśmy tu po to, by ci pomóc.

Tirian podniósł się i poprowadził ich szybko w dół, po zboczu wzgórza, kierując się na południe, jak najdalej od Stajni. Wiedział dobrze, dokąd powinien iść, ale najpierw chciał znaleźć jakiś skalisty teren, gdzie przestaliby zostawiać ślady, a potem przejść przez jakąś wodę, aby psy straciły ich trop. Zajęło im to około godziny, podczas której kluczyli, wspinali się na skały i brodzili po wodzie. Nie było sposobności do rozmowy, lecz Tirian przyglądał się bacznie swoim towarzyszom,

kiedy tylko mógł. Wędrówka przez mroczny las z istotami z innego świata wprawiała go w lekkie oszołomienie, ale czyniła też bardziej realnymi opowieści z dawnych czasów. Wszystko mogło się teraz wydarzyć...

- No, jesteśmy już dość daleko od tych łotrów - rzekł Tirian, gdy znaleźli się w brzozywym zagajniku, u wejścia do niewielkiej doliny. - Możemy nieco zwolnić.

Słońce już wstało, krople rosy migotały na każdej gałęzi, śpiewały ptaki.

- Warto pomyśleć o jakimś żarciu - odezwał się chłopiec. - Oczywiście chodzi mi o ciebie, panie, my już jesteśmy po śniadaniu.

Tirian zastanawiał się gorączkowo, co też może znaczyć „żarcie”, ale kiedy chłopiec otworzył wypchany tornister i wyjął z niego wytłuszczoną i pogniecioną paczkę, zrozumiał. Dopiero teraz poczuł okropny głód. W paczce znajdowały się dwie kanapki z jajkiem na twardo, dwie z serem i dwie z mięsną pastą. Gdyby nie wielki głód, zastanowiłby się głęboko przed zjedzeniem tej pasty, bo czegoś takiego nikt w Narnii nie jada.

Zanim skończył ostatnią kanapkę, dotarli już do dna doliny, a tam znaleźli porośniętą mchem skalną ścianę, z której biło źródło. Wszyscy napili się orzeźwiającej wody i opłukali rozgrzane twarze.

- A teraz - powiedziała dziewczynka, odgarniając mokre włosy z czoła - czy mógłbyś nam powiedzieć, kim jesteś i dlaczego przywiązano cię do drzewa, i co tu się w ogóle dzieje?

- Z najwyższą ochotą, panienko - odrzekł Tirian - ale nie możemy się zatrzymać.

Ruszyli więc w dalszą drogę, a król opowiedział im, kim jest i co mu się przydarzyło.

- Zamierzam teraz - zakończył swą opowieść - udać się do pewnej wieży, jednej z trzech zbudowanych przez mojego przodka dla strzeżenia Latarnianego Pustkowiec przed wyjętymi spod prawa złoczyńcami, którzy mieszkali tam za jego dni. Dzięki niech będą Aslanowi, że nie obrabowali mnie z kluczy. W tej wieży znajdziemy broń i rynsztunek, a także trochę żywności, chociaż nie obiecuję nic lepszego niż suchary. Możemy się tam bezpiecznie zatrzymać dla omówienia dalszych planów. A teraz wyświadczyć mi łaskę i powiedzcie, kim wy jesteście i w jaki sposób przybyliście do Narnii, aby mi pomóc.

- Ja nazywam się Eustachy Scrubb, a to jest Julia Pole - powiedział chłopiec. - Dawno, dawno temu już tutaj byliśmy; według naszego czasu minął zaledwie rok, ale

według narnijskiego całe stulecia. Żył tu wówczas pewien gość, który nazywał się księżę Rilian, i trzymano go w podziemiu, i Błotosmętek włożył stopę w...

- Ha! - wykrzyknął Tirian. - A więc to wy! Eustachy i Julia, którzy uwolnili króla Riliana ze złego czaru, jakim na wiele lat spętała go Czarownica!

- Tak, to my - powiedziała Julia. - A więc Rilian jest teraz królem, czy dobrze usłyszałam? Ach, tak, oczywiście... Zapomniałam, że...

- Nie - przerwał jej Tirian. - Nie jest już królem. Ja jestem jego potomkiem w siódmym pokoleniu. Król Rilian zmarł ponad dwieście lat temu.

Julia skrzywiła się.

- Och! To jest ta jedyna okropna rzecz, gdy się wraca do Narnii.

- A więc wiesz już, kim jesteśmy, panie - Eustachy wrócił do swojej opowieści. - A więc tak: Profesor i ciotka Pola zebrali wszystkich przyjaciół Narnii razem...

- Nie znam ich imion, Eustachy - wtrącił Tirian.

- Tych dwoje dorosłych to ci, którzy byli w Narnii na samym początku jej istnienia, w dniu, w którym wszystkie zwierzęta nauczyły się mówić.

- Na grzywę Lwa! - zawołał Tirian. - Tych dwoje! Lord Digory i pani Pola z prapoczątków świata! Wciąż jeszcze żyją! Cóż za dziwy! Chwała niech będzie Aslanowi! Ale mów, mów.

- Wiesz, ona naprawdę nie jest naszą ciotką - rzekł Eustachy. - To pani Plummer, ale nazywamy ją ciotką Połą. A więc tych dwoje zebrało nas wszystkich, częściowo po to, by mile spędzić razem czas i porozmawiać swobodnie o Narnii, bo oczywiście tylko między sobą możemy mówić o takich rzeczach,

a częściowo dlatego, że Profesor miał przeczucie, że będziemy tu znowu potrzebni. No i wtedy ty pojawiłeś się jak duch albo jak Bóg-wie-co, i okropnie nas przestraszyłeś, a potem zniknąłeś bez słowa. Ale już wiedzieliśmy, że dzieje się coś niedobrego i powstał problem, jak tu się dostać. Nie wystarczy tylko chcieć. Roztrząsaliśmy to na wszystkie strony i w końcu Profesor powiedział, że jedynym sposobem jest użycie magicznych pierścieni. Właśnie dzięki nim on i ciotka Pola przenieśli się tu dawno, dawno temu, jako dzieci. Nas nie było jeszcze wtedy na świecie. Ale pierścienie zostały zakopane w ogrodzie przy pewnym domu w Londynie - to takie wielkie miasto w naszym świecie - a ten dom sprzedano. Powstał więc problem, jak je stamtąd wydostać. Nigdy byś nie zgadł, co w końcu zrobiliśmy! Edmund i Piotr - Wielki Król Piotr, ten, który do ciebie przemówił - pojechali do Londynu, aby zakraść się do tego ogrodu o świecie, gdy wszyscy jeszcze śpią. Przebrali

się za robotników, tak że gdyby ich ktoś zobaczył, pomyślałby, że przyszedli naprawiać kanalizację. Szkoda, że z nimi nie pojechałem, to musiała być wspaniała zabawa! Chyba im się udało, bo następnego dnia Piotr przysłał nam telegram - to taki rodzaj szybkiej wiadomości, kiedy indziej ci to wyjaśnię, panie - zawiadamiając nas, że ma pierścienie. W dzień później Julia i ja wracaliśmy ze szkoły - tylko my dwoje chodzimy jeszcze do szkoły, i to do tej samej. Piotr i Edmund mieli się z nami spotkać w umówionym miejscu w drodze do szkoły, na stacji, i przekazać nam pierścienie, bo to my mieliśmy przejść do Narnii; oni są starsi i nie

mogą tu już wrócić. Więc wsiedliśmy do pociągu - to taka rzecz, którą się w naszym świecie podróżuje: mnóstwo zamkniętych wozów szepionych razem - a Profesor, ciotka Pola i Łucja towarzyszyli nam, bo chcieliśmy być jak najdłużej razem. No więc byliśmy razem w pociągu. I właśnie dojeżdżaliśmy do stacji, na której mieliśmy się spotkać z Piotrem i Edmundem, ja wyglądałem przez okno, żeby ich zobaczyć, gdy nagle nami okropnie szarpnęło, coś zahuczało i w tej samej chwili znaleźliśmy się w Narnii, a ty stałeś przed nami przywiązany do drzewa.

- A więc w ogóle nie użyliście pierścieni? - zapytał Tirian.

- Nie, nawet ich nie zobaczyliśmy. Aslan uczynił to w swój własny sposób, bez pierścieni, jak już nieraz bywało.

- Ale Wielki Król Piotr wciąż je ma?

- Tak - powiedziała Julia - ale nie sądzimy, by ich użył. Kiedy Pevensie... to znaczy król Edmund i królowa Łucja, byli tu ostatnim razem, Aslan im powiedział, że już nigdy nie wrócą do Narnii. Coś podobnego powiedział Wielkiemu Królowi, tylko o wiele dawniej. Możesz być pewien, że już by tu był, gdyby mu pozwolono.

- Ojej! Ale się robi gorąco w tym słońcu - jęknął Eustachy. - Czy jesteśmy już blisko, panie?

- Spójrzcie! - rzekł Tirian i wyciągnął rękę. Ponad wierzchołkami drzew pojawiły się szare blanki

murów, a po minucie marszu wyszli z lasu na otwartą, zieloną przestrzeń. Biegł przez nią strumień, a na dalszym krańcu wznosiła się płasko zakończona, kwadratowa wieża z kilkoma bardzo wąskimi oknami i ciężkimi drzwiami, osadzonymi z tej strony, z której nadchodzili.

Tirian rozejrzał się uważnie dookoła, sprawdzając, czy gdzieś nie czai się wróg. Potem podszedł do wieży i wydobył pęk pięknych kluczy, który nosił na srebrnym łańcuszku pod myśliwską kurtką; dwa były ze szczerzego złota, a wiele zadziwiało



misterną robotą. Już na pierwszy rzut oka można było poznać, że to klucze do sekretnych, ważnych komnat w pałacu lub do skrzyń i szkatulek ze słodko pachnącego drewna, pełnych królewskich skarbów. Ale klucz, który Tirian włożył do zamka drzwi, był zwyczajny: duży i dość prymitywnie wykonany. Zamek zardzewiał i przez chwilę król lękał się, czy będzie go w stanie otworzyć, w końcu jednak drzwi ustąpiły z ponurym jękiem.

- Zapraszam do środka, przyjaciele - rzekł. - Niestety, to obecnie najwspanialszy z pałaców, w jakich król Narnii może zaoferować wam gościnę.

Z zadowoleniem spostrzegł, że dwoje przybyszów z innego świata znało dobre maniery. Oboje zaraz go zapewnili, że nie są przyzwyczajeni do przepychu i że na pewno będzie tu bardzo przyjemnie.

Prawdę mówiąc, miejsce nie należało do zbyt przyjemnych. W środku panowała ciemność i zalatywało stęchlizną. Całe wnętrze wieży zajmowało jedno duże pomieszczenie. W rogu wznosiły się ku kamiennemu sklepieniu drewniane schodki wiodące do otworu, którym można się było wydostać na płaski dach otoczony blankami. W murze czerniło się też kilka nisz z prymitywnymi pryzkami do spania. Pod ścianami leżało sporo skrzyń i worków, a w drugim rogu dzieci dostrzegły wielki kominek, sprawiający wrażenie, jakby w nim nie palono od wielu lat.

- Może najpierw wyjdziemy i nazbieramy trochę drewna - zaproponowała Julia.

- Jeszcze nie, moi druhowie - odrzekł Tirian. Nie zamierzał po raz drugi spotkać wroga nie uzbrojony. Natychmiast zaczął otwierać skrzynie, błogosławiąc w duchu własną przezorność, która nakazywała mu dokonywać raz w roku inspekcji owych wież strażniczych, aby się upewnić, że jest w nich wszystko, co może się przydać w razie zagrożenia. Cięciwy łuków leżały zawinięte w przesycony oliwą jedwab, miecze i ostrza włóczni natłuszczono, by nie zardzewiały, zbroje jaśniały, gdy odwinął ich pokrowce. Znalazł też coś, co go szczególnie uradowało.

- Spójrzcie! - zawołał, wyjmując długą, niezwykle kolczugę i błyskając nią przed oczami dzieci.

- To dość dziwna kolczuga, panie - rzekł Eustachy.

- Zgadza się, chłopcze - powiedział Tirian. - Bo też nie wykuł jej narnijski karzeł. To kalormeńska robota, wystarczy spojrzeć na łączenia pierścieni. Zawsze trzymam w pogotowiu kilka takich rzeczy, bo nigdy nie wiadomo, kiedy zajdzie potrzeba poruszania się po kraju Tisroka bez zwracania na siebie uwagi. Przyjrzyjcie

się teraz temu kamiennemu flakonowi. Jest w nim sok, który można wetrzeć w ręce i twarze, a zrobią się brązowe jak u Kalormeńczyków.

- Hurra! - zawołała Julia. - Przebieranka! Uwielbiam przebieranie!

Tirian pokazał im, jak wylać nieco soku na dłonie, a potem wetrzeć go dobrze w twarz, szyję i ramiona, a także w ręce, aż do łokci. Sam też to uczynił.

- Kiedy wyschnie - dodał - żadna woda tego nie zmyje. Tylko oliwa i popiół uczynią nas z powrotem Narnijczykami. A teraz, miła Julio, zobaczmy, jak wyglądasz w tej stalowej koszulce. Trochę za długa, ale nie tak bardzo, jak się obawiałem. Na pewno należała do jakiegoś pazia z orszaku jednego z Tarkaanów.

Wszyscy przywdziali stalowe kolczugi i kalormeńskie hełmy: okrągłe, ściśle przylegające do głowy, a na szczycie zakończone ostrym szpicem. Tirian wyjął ze skrzyni zwój białej tkaniny i owinął nią każdy hełm, tak że stały się podobne do turbanów: wystawały z nich tylko spiczaste końce. On i Eustachy uzbroili się w krzywe kalormeńskie szable i małe, okrągłe tarcze. Wszystkie miecze i szable okazały się dla Julii za ciężkie, ale w końcu król znalazł dla niej długi, prosty myśliwski nóż, mogący w razie potrzeby zastąpić miecz.

- Czy umiesz posługiwać się łukiem, panienko? - zapytał.

- Och, nie warto nawet o tym mówić - odparła Julia, czerwieniąc się. - Za to Scrubb jest w tym nie najgorszy.

- Nie wierz jej słowom, panie - rzekł Eustachy. - Oboje ćwiczyliśmy się w strzelaniu z łuku od czasu, gdy wróciliśmy z Narnii ostatnim razem. Julia jest prawie tak dobra jak ja. Ale, mówiąc szczerze, żadne z nas nie jest mistrzem.

Tirian dał więc Julii łuk i kołczan pełen strzał. Teraz musieli rozpalić ogień, bo wewnątrz wieży bardziej przypominało jaskinię niż siedzibę ludzką i wszyscy od czasu do czasu mieli dreszcze. Ale szybko rozgrzali się, zbierając drewno - słońce stało już w zenicie - a kiedy ogień zahuczał w kominie, od razu zrobiło się przytulniej. Obiad nie był zbyt wyszukany; jedyne, co znaleźli do jedzenia, to twarde suchary. Rozgotowali je w wodzie, dodali soli i powstało coś w rodzaju owsianki. No i, oczywiście, do picia mieli tylko wodę.

- Och, czemu nie zabraliśmy ze sobą paczki herbaty - westchnęła Julia.

- Albo puszki kakao - dodał Eustachy.

- W każdej wieży powinna być przynajmniej jedna baryłka wina - rzekł Tirian.

## ROZDZIAŁ 6

### NOCNY WYPAD

JAKIEŚ CZTERY GODZINY PÓŹNIEJ Tirian rzucił się na jedną z prycz, żeby się trochę przespać. Dzieci już zdrowo chrapały: wysłał je spać o wiele wcześniej, bo większość nocy mieli spędzić na nogach. Młody król wiedział, że w ich wieku trudno się obyć bez normalnej porcji snu, a w dodatku przez całe popołudnie też nie było sposobności do odpoczynku. Najpierw ćwiczył z Julią strzelanie z łuku i stwierdził, że chociaż nie dorównuje w tej sztuce przeciętnemu narnijskiemu łucznikowi, radzi sobie zupełnie nieźle. Udało jej się nawet ustrzelić dzikiego królika (oczywiście nie MÓWIĄCEGO królika; w zachodniej Narnii jest wiele zwykłych), który wisiał już, oprawiony i oczyszczony. Tirian odkrył też, że dzieci znały się dobrze na tym brudnym i cuchnącym zajęciu, jakim jest oprawianie zwierzyny; nauczyły się tego podczas długiej wędrówki przez Krainę Olbrzymów, za czasów księcia Riliana. Potem próbował nauczyć Eustachego posługiwania się szablą i tarczą. Eustachy miał niezłą praktykę z czasów swych wcześniejszych przygód, ale wówczas walczył zawsze prostym narnijskim mieczem. Nigdy dotąd nie miał w ręku krzywej kałormeńskiej szabli i sprawiało mu to dużą trudność. Musiał poznać wiele zupełnie nowych uderzeń, odczytać się wielu dawnych, do jakich zdążył się przyzwyczaić, walcząc prostym mieczem. Tirian spostrzegł jednak, że chłopiec ma bystre oko i jest bardzo szybki w nogach. Zdumiała go siła dzieci; wydawały się zresztą o wiele silniejsze, bardziej wyrośnięte i dojrzałe niż jeszcze kilkanaście godzin temu, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Tak właśnie działa narnijskie powietrze na przybyszy z naszego świata.

Wszyscy troje zgodzili się, że przede wszystkim muszą wrócić na Wzgórze Stajni i spróbować uwolnić jednoroźca Klejnota. Potem, jeśli im się powiedzie, powinni wyruszyć na wschód, aby spotkać się z posiłkami, które prowadzi z Ker-Paravelu centaur Runwid.

Doświadczony żołnierz i myśliwy zawsze może się obudzić o tej godzinie, o której chce. Tirian „nastawił się” na dziewiątą wieczorem, zapomniał o wszystkich zmartwieniach i natychmiast zasnął. Po przebudzeniu czuł się tak, jakby spał zaledwie kilka minut, ale nie miał wątpliwości, że nadeszła właściwa pora. Wstał, włożył hełm z turbanem (kolczugi do snu nie zdejmował) i potrząsał dziećmi tak długo, aż się przebudziły. Gdy wreszcie wygrzebały się ze swoich koi, miny miały niezbyt wesołe, a twarze nieco szare, było też wiele głośnego ziewania.

- Tym razem - rzekł Tirian - kierujemy się prosto na północ. Na szczęście noc

jest gwiazdzista. Droga będzie o wiele krótsza, bo poprzedniego ranka musieliśmy kluczyć i krążyć. Jeśli napotkamy wroga, zachowajcie zimną krew, a ja spróbuję przemówić jak przekłety, okrutny i dumny kalormeński pan. Jeśli dobędę szabli, ty, Eustachy, musisz zrobić to samo, a Julia niech się cofnie i nałoży strzałę na cięciwę. Ale kiedy zawołam: „Dom!”, uciekajcie oboje do wieży. I niech nikt nie próbuje walczyć - ani jednego uderzenia! - gdy dam sygnał do odwrotu. Takie fałszywe męstwo zepsuło już wiele najlepszych planów wojennych. A teraz, przyjaciele, w imię Aslana - naprzód!

Zagłębili się w zimną i ciemną noc. Ponad szczytami drzew płonęły wszystkie gwiazdy północnego nieba. Gwiazda Północna tego świata nazywana jest Ostrzem Włóczni, jest ona jaśniejsza od naszej Gwiazdy Polarnej.

Przez pewien czas szli prosto na nią, ale później natrafili na las tak gęsty, że musieli zmienić kierunek, aby go obejść. A potem określenie położenia stało się bardzo trudne, bo gałęzie przesłaniały niebo. Właściwy kierunek odnaleźli dzięki bystrości Julii, która była w Anglii doświadczonym przewodnikiem. Wędrując po pustkowiach Północnych Krain w czasie swego pierwszego pobytu w tym świecie, poznała też dobrze narnijskie gwiazdy i potrafiła określić kierunek nawet wówczas, gdy nie widzieli Ostrza Włóczni. Kiedy Tirian odkrył, że dziewczynka jest lepszym przewodnikiem od niego, ustąpił jej miejsca na przedzie i podziwiał ją, gdy bezszelestnie i zwinnie przemykała przez ciemny las, bez wahania odnajdując właściwą drogę.

- Na grzywę Lwa! - szepnął do Eustachego. - Ta dziewczyna chyba urodziła się w lesie! Nawet gdyby płynęła w niej krew driad, nie radziłyby sobie lepiej.

- Jest mała i to jej pomaga - odpowiedział Eustachy, ale Julia syknęła na nich, żeby nie hałasowali.

W lesie panowała niezmacona cisza. Prawdę mówiąc, było trochę za cicho. W zwykłą narnijską noc las powinien rozbrzmiewać różnymi odgłosami: od czasu do czasu wesołym pozdrowieniem jeża, pohukiwaniem sowy, zawodzeniem fletu z oddali, mówiącym, że gdzieś na polanie tańczą fauny, głuchymi uderzeniami młotów spod ziemi, przypominającymi, że karły lubią pracować nocną porą. Ale tej nocy tylko cisza dzwoniła w uszach, jakby w całej Narnii zapanował smutek i lęk.

Po pewnym czasie zaczęli się wspinać na dość strome zbocze. Drzewa rosły tu coraz rzadziej. Tirian czuł, że jest to dobrze mu znane Wzgórze Stajni. Julia szła coraz ostrożniej i dawała rękami znaki, aby ją naśladowali. W pewnej chwili stanęła bez

ruchu, powoli schyliła się i nagle bezszelestnie znikła w wysokiej trawie. Po minucie wstała, zbliżyła, usta do ucha Tiriana i szepnęła najciszej jak potrafiła:

- Na jemię! Am popat.

Powiedziała „jemię”, a nie „ziemię”, „am” zamiast „sam” i „popat” zamiast „popatrz” nie dlatego, że ze strachu zaczęła kaleczyć wymowę, ale dlatego, że wymawianie takich spółgłosek jak „ż”, „s” czy „rz” nie jest bezpieczne w lesie pełnym wrogów. Tirian natychmiast zapadł w trawę, choć nie tak cicho jak Julia, bo był cięższy i starszy. Rzeczywiście, z tej pozycji wyraźnie dostrzegł grzbiet wzgórza na tle rozgwieżdżonego nieba, a na nim dwa ciemne kształty: w jednym rozpoznał Stajnię, w drugim, mniejszym, sylwetkę kalormeńskiego wartownika. Z pewnością nie był to dobrze wyszkolony żołnierz, bo ani nie chodził wokół posterunku, ani nawet nie stał, lecz siedział z włócznią opartą o ramię i głową zwieszoną na piersi.

- Dobra robota - szepnął Tirian do Julii. Pokazała mu dokładnie to, co chciał zobaczyć.

Podnieśli się i teraz król objął prowadzenie. Powoli, wstrzymując oddech, podkradli się do kępy drzew, rosnącej nie dalej niż jakieś dziesięć metrów od wartownika.

- Poczekajcie tu na mnie - szepnął. - Jeśli mi się nie powiedzie, uciekajcie.

Potem wyszedł na polanę i wolnym, niedbałym krokiem zbliżył się do wartownika. Ten podniósł głowę i już zamierzał zerwać się na nogi, sądząc, że to jeden z oficerów sprawdza warty, gdy Tirian ukląkł przy nim na jedno kolano i powiedział:

- Czy jesteś żołnierzem Tisroka, oby żył wiecznie? Serce moje napętnia radość, że spotykam cię pośród tych narnijskich bestii i diabłów. Pozwól, że ci uścisknę dłoń, przyjacielu.

Zanim do Kalormeńczyka dotarło, co się właściwie dzieje, jego prawa ręka znalazła się w mocnym uścisku. W następnej chwili leżał twarzą do ziemi, ktoś klęczał mu na nogach, a na karku czuł ostrze sztyletu.

- Jeden dźwięk i będziesz martwy - szepnął mu Tirian prosto w ucho. - Powiedz mi, gdzie jest jednorożec, a daruję ci życie.

- Z-z-za tą szopą, potężny panie - wymamrotał nieszczęsny żołnierz.

- Dobrze. Wstań i zaprowadź mnie do niego.

Kiedy wartownik wstał, koniec sztyletu nadal dotykał jego szyi. Przesunął się tylko (co przyprawiło go o zimne dreszcze) z karku na wygodne miejsce pod uchem. Trzęsąc się ze strachu, Kalormeńczyk zaprowadził króla na tyły Stajni.

Mimo ciemności Tirian rozpoznał od razu białą sylwetkę swego przyjaciela.

- Ciiiicho! - szepnął. - Nie! Nie rzyj! Tak, mój Klejnocie, to ja. Jak cię związali?

- Mam spętane wszystkie cztery nogi i uzdę, której koniec przywiązali do żelaznego kółka w ścianie Stajni.

- Stań tam, człowieku, i oprzyj się plecami o ścianę - rzekł Tirian do wartownika. - O, tak. Klejnocie, czy mógłbyś przyłożyć koniec swojego rogu do tej kalormeńskiej piersi?

- Z najwyższą ochotą, panie.

- Jeśli się ruszy, przebij go.

W ciągu kilku sekund Tirian przeciął sznury, a następnie związał nimi ręce i nogi wartownika. Kazał mu otworzyć usta, wepchnął mu do środka duży

pęk trawy, obwiązał twarz sznurem i umieścił go w pozycji siedzącej, opierając plecami o ścianę Stajni. ,

- Pozwoliłem sobie na pewną nieuprzejmość wobec ciebie, żołnierzu - powiedział - ale wymagała tego konieczność. Jeśli się jeszcze spotkamy, obejdę się z tobą lepiej. A teraz, drogi Klejnocie, zmykajmy.

Objął szyję zwierzęcia lewą ręką, pocałował go w nos i obaj poczuli w sercu wielką radość. Potem poprowadził go spieszenie do miejsca, gdzie zostawił dzieci. Pod drzewami było o wiele ciemniej i omal nie wpadł na Eustachego.

- Wszystko poszło dobrze - szepnął Tirian. - Udany nocny wypad. Wracamy.

Po kilku krokach Eustachy zapytał:

- Gdzie jesteś, Julio? - Odpowiedziała mu cisza. - Czy Julia idzie obok ciebie, panie?

- Co? A nie ma jej obok CIEBIE?

Była to straszna chwila. Nie ośmielili się nawoływać, ale powtarzali jej imię głośnym szeptem. Niestety, bez skutku.

- Czy odeszła od ciebie, kiedy mnie nie było? - zapytał Tirian.

- Nie widziałem ani nie słyszałem, aby odchodziła, ale mogła to zrobić. Potrafi się poruszać cicho jak kot, zresztą sam widziałeś, panie.

W tym momencie usłyszeli daleki odgłos bębna. Klejnot nadstawił uszu.

- Karły - powiedział.

- I dam głowę, że to karły-zdrajcy, nasi wrogowie - mruknął Tirian.

- A teraz zbliża się coś na kopytach... i jest już niedaleko... - szepnął Klejnot.

Zamarli bez ruchu, nasłuchując. Obawiali się tylu rzeczy, że nie wiedzieli, co

robić. Odgłos kopyt zbliżał się powoli. Nagle, zupełnie blisko, rozległ się szept:

- Hej! Jesteście tu wszyscy?

- Dzięki Bogu, to głos Julii!

- Gdzie byłaś, DO DIABŁA? - zapytał Eustachy podnieconym szeptem, bo naprawdę się przestraszył.

- W Stajni - wydyszała Julia, a jej głos zdradzał, że ledwo się powstrzymuje od śmiechu.

- Głupia! - warknął Eustachy. - Naprawdę uważasz, że to śmieszne? Więc powiem ci...

- Czy uwolniłeś Klejnota, panie? - zapytała Julia Tiriana.

- Tak. Jest tutaj. A co to za zwierzę jest z tobą?

- To ON. Ale lepiej oddalmy się stąd jak najszybciej, zanim się ktoś obudzi. - I znowu rozległy się tłumione wybuchy jej śmiechu.

Posłuchali natychmiast, bo czuli, że już za długo przebywają w niebezpiecznym miejscu, a bęben karłów jakby się nieco przybliżył. Dopiero po kilkunastu minutach szybkiego marszu na południe Eustachy zwrócił się do Julii.

- Co za ON? Kogo masz na myśli?

- Fałszywy Aslan - odparła Julia.

- CO?! - prawie krzyknął Tirian. - Gdzie ty właściwie byłaś? Co zrobiłaś?

- Panie, jak tylko usunąłeś tego wartownika, myślałam, że to najlepsza okazja, by zajrzeć do Stajni i zobaczyć, kto tam właściwie jest. Podczołgałam się i z łatwością podniosłam rygiel. W środku było oczywiście ciemno jak w grobie i pachniało jak w każdej zwykłej stajni. Więc zapaliłam zapałkę i - czy mi uwierzycie? - stał tam tylko ten stary osioł z lwią skórą przywiązaną do grzbietu. Wyciągnęłam nóż i powiedziałam, że ma ze mną wyjść. Prawdę mówiąc, wcale nie musiałam grozić mu nożem. Miał już zupełnie dosyć tej Stajni i z radością ją opuścił. Czy nie tak, mój kochany Łamigłówek?

- O holender! - zawołał Eustachy. - No wiesz... jestem... niech skonam! Przed chwilą zezłościłem się na ciebie i nadal uważam, że takie samowolne wybryki są godne pożałowania, ale muszę przyznać... no, rzeczywiście... to, co zrobiłaś, jest zupełnie fantastyczne. Gdyby była chłopcem, dostałaby za to rycerski pas, prawda, panie?

- Gdyby była chłopcem - odrzekł Tirian - dostałaby chłostę za złamanie rozkazu. - W ciemności nikt nie mógł zobaczyć, jaką minę miał król, gdy to mówił. W następnej chwili dał się słyszeć zgrzyt metalu o metal.

- Co czynisz, panie? - zapytał Klejnot ostrym tonem.

- Wyciągam miecz, by odciąć głowę temu przekłętemu osłu! - odpowiedział Tirian strasznym głosem. - Odsuń się, dziewczyno.

- Och! Nie rób tego! - zawołała Julia. - Naprawdę, nie możesz tego zrobić. To nie jego wina. To wszystko wymyśliła ta małpa. On nie wiedział. I bardzo żałuje. I to taki miły osiołek. Nazywa się Łamigłówek. - I objęła mu szyję ramionami.

- Julio - rzekł Tirian - jesteś najdzielniejszą i najlepiej znającą się na lesie osobą, jaką znam, ale jesteś też najbardziej nieposłuszna i zuchwała. Dobrze. Niech ten osioł żyje. Co masz do opowiedzenia na swoją obronę, osle?

- Ja, panie? - rozległ się cichy głos Łamigłówka. - Naprawdę, bardzo żałuję, jeśli zrobiłem coś złego. Szympanś powiedział, że Aslan CHCE, abym się tak przebrał. Myślałem, że wie, co mówi. Nie jestem taki mądry jak on. Ja tylko robiłem to, co mi kazano. Wcale mi się nie podobało siedzenie w zamkniętej Stajni. Nigdy mnie z niej nie wypuszczał, z wyjątkiem jednej lub dwu minut w nocy. Czasem przez cały dzień nie dostawałem wody.

- Panie - rzekł Klejnot - karły są coraz bliżej. Czy chcemy się z nimi spotkać

Tirian pomyślał przez chwilę i nagle wybuchnął głośnym śmiechem. A potem przemówił, ale tym razem nie szeptem, lecz pełnym głosem:

- Na grzywę Lwa! Zaczynam już myśleć jak borsuk wyrwany z zimowego snu. Spotkać ich? Oczywiście, spotkamy się z nimi. Niech zobaczą to, czego się tak bali i czemu się kłaniali. Ukażemy im cały podstępny plan szympansa. Wszystko się wydało. Sprawy przyjęły nowy obrót. Jutro powiesimy małpę na najwyższym drzewie w Narnii. Koniec z szeptami, ukrywaniem się i przebieraniem. Gdzie są te szlachetne karły? Mamy dla nich dobre nowiny.

Kiedy przez całe godziny porozumiewa się tylko

szeptem, dźwięk normalnego głosu ma cudowne, ożywcze działanie. Wszyscy zaczęli głośno rozmawiać i śmiać się, nawet Łamigłówek podniósł łeb i wydał z siebie donośne „Houuuu-hiiii-houuuu-hiiii-hiiii”, czego Krętacz zabraniał mu od wielu dni. Potem ruszyli śmiało tam, skąd dochodziło coraz głośniejsze bębnienie. Wkrótce zobaczyli światło pochodni. Doszli do jednej z owych prymitywnych dróg (w Anglii w ogóle nie nazywano by ich drogami), jakie biegną przez Latarniane Pustkowia. Tam ujrżeli około trzydziestu karłów maszerujących zdecydowanym krokiem, z łopatami i kilofami na ramionach. Na czele kolumny szło dwóch uzbrojonych Kalormeńczyków, dwu innych ją zamykało. - Stać - zagrzmiął Tirian, wychodząc na środek drogi. -



Zatrzymać się, żołnierze! Dokąd to prowadzicie tych narnijskich karłów i z czyjego rozkazu?

## ROZDZIAŁ 7

### GŁÓWNIE O KARŁACH

IDĄCY NA PRZEDZIE dwaj kalormeńscy żołnierze, zatrzymali się i wzniesli włącznie w pozdrowieniu, sądząc, że stoi przed nimi jakiś wielki Tarkaan z dwoma uzbrojonymi giermkami.

- O wielki panie - odezwał się jeden z nich - prowadzimy te karzełki do Kalormenu, do pracy w kopalniach Tisroka, oby żył wiecznie.

- Na wielkiego Tasza, są bardzo posłuszni - rzekł Tirian. Potem zwrócił się do karłów (co szósty niósł zapaloną pochodnię i w migocącym świetle brodate twarze patrzyły na niego ponuro i z jakąś zawziętością). - Czyżby Tisrok zwyciężył w jakiejś wielkiej bitwie, szlachetne karły, i podbił wasz kraj - zapytał - że widzę was, jak posłusznie idziecie na śmierć w solnych jamach Pugrahamu?

Dwaj żołnierze popatrzyli na niego zaskoczeni, a karły odpowiedziały:

- Rozkazy Aslana. Rozkazy Aslana. To ON nas sprzedał. Co możemy zrobić? Sprzeciwić się JEGO woli?

- Tisrok i bitwa - dodał jeden i splunął. - Chciałbym to zobaczyć!

- Zamknij się, psie! - warknął dowódca straży.

- Spójrzcie! - zawołał Tirian, wyciągając Łamigłówa na światło. - To wszystko było kłamstwo. Aslan w ogóle nie przybył do Narnii. Zostaliście oszukani przez szympana. Oto, co wyprowadzał co noc ze Stajni. Spójrzcie!

To, co karły zobaczyły z bliska, wystarczyło w zupełności, by wprawić je w osłupienie, jak mogły dać się tak oszukać. Długi okres uwięzienia Łamigłówa

w Stajni sprawił, że lwia skóra była w oplakany stan, a podczas wędrówki przez gęsty las przekrzywiła się i zwisała teraz jak niechlujny tobołek. Głowa zsunęła się do tyłu i każdy mógł zobaczyć niezbyt mądry ośli łeb. Z pyska wystawało mu trochę trawy, ponieważ przed chwilą skorzystał z tego, że nikt się nim nie zajmuje, i ukradkiem pasł się przy drodze.

- To nie moja wina - wymamrotał cicho. - Ja nie jestem mądry. Nigdy nie twierdziłem, że jestem mądry.

Przez chwilę wszystkie karły wpatrywały się w Łamigłówa z otwartymi ustami, a potem jeden z żołnierzy przemówił ostrym tonem:

- Czyś rozum postradał, panie? Co ty wyprawiasz z tymi niewolnikami? - A drugi dodał: - I kim ty właściwie jesteś?

Ich włącznie, jeszcze przed chwilą uniesione w pozdrowieniu, teraz pochyliły,

się gotowe do pchnięcia.

- Podaj hasło! - powiedział dowódca.

- Oto moje hasło! - zawołał król i dobył miecza. - „Światło wschodzi, kłamstwo pierzcha”. A teraz strzeżcie się, łotry, bo ja jestem Tirian, król Narnii!

I rzucił się jak błyskawica na dowódcę straży. Eustachy, który wyciągnął szablę, gdy tylko zobaczył, że król to uczynił, natarł na drugiego Kalormeńczyka. Twarz miał bladą jak kreda, ale myślę, że trudno go za to winić. Jak to się czasem zdarza początkującym, miał szczęście. Zapomniał o wszystkim, czego go Tirian próbował nauczyć tego popołudnia, tylko uderzył dziko na odlew (nie jestem nawet pewien, czy nie zamknął przy tym oczu) i ku swemu zaskoczeniu ujrzał, że Kalormeńczyk leży martwy u jego stóp. I chociaż przyniosło mu to wielką ulgę, w tej chwili czuł się raczej przerażony. Pojedynek króla trwał sekundę lub dwie dłużej, lecz i on powalił swego przeciwnika i krzyknął:

- Uważaj na tamtych dwóch! Ale karły już się nimi zajęły.

- Dobrze uderzenie, Eustachy - rzekł Tirian, klepiąc chłopca po ramieniu. - Hej, karły, jesteście wolne! Jutro poprowadzę was, by wyzwolić całą Narnię. Niech żyje Aslan!

Lecz reakcja na jego słowa była dość żałosna. Zaledwie kilku karłów (najwyżej pięciu) próbowało powtórzyć okrzyk, ale zamarł im w gardłach, zdławiony gniewnymi pomrukami towarzyszy. Większość milczała.

- Czy oni nic nie rozumieją? - zapytała niecierpliwie Julia. - Co się z wami stało, karły? Czy nie słyszeliście słów króla? Już po wszystkim. Szympanś nie będzie dłużej rządził w Narnii. Każdy może powrócić do swojego zwykłego życia. Znowu możecie się nim cieszyć. Czy nie jesteście zadowoleni?

Po trwającym prawie minutę milczeniu odezwał się wreszcie jeden z nich, z czarną jak sadza brodą i niezbyt przyjemną twarzą.

- A ty, panienko, kim właściwie jesteś?

- Jestem Julia. Ta sama Julia, która uwolniła króla Riliana ze złego czaru, a to jest Eustachy, który uczynił to wraz ze mną. Wróciliśmy tu z innego świata po całych stuleciach. Przysłał nas Aslan.

Karły popatrzyły po sobie, szczerząc zęby, ale nie były to uśmiechy wesołe, lecz szydercze.

- Cóż - powiedział w końcu Czarny Karzeł (nazywał się Gryfel) - nie wiem, co wy na to, braciszku, ale co do mnie, to usłyszałem już o Aslanie tyle, że wystarczy

mi do samej śmierci.

- Racja, racja - odezwały się inne karły. - To wszystko oszustwo. Diabelskie sztuczki.

- Co wy wygadujecie? - zawołał Tirian. Kiedy walczył, nie był błąd, lecz teraz twarz mu zbieleła. Jeszcze przed chwilą nie miał wątpliwości, że nadeszła wspaniała, wielka chwila, a teraz wszystko zmieniło się w jakiś koszmarny sen.

- Ty chyba myślisz, że my wszyscy mamy źle w głowie - rzekł Gryfel. - Raz już nas nędznie oszukano, a tobie się wydaje, że można nas nabrać po raz drugi, i to po paru minutach. Już nie potrzebujemy tych historyjek o Aslanie! Spójrzcie tylko na niego. Stary osioł z długimi uszami.

- Wielkie nieba, ja chyba oszaleję - powiedział Tirian. - A któż każe wam wierzyć, że to jest Aslan? To jest tylko mała imitacja prawdziwego Aslana. Czy nie możecie tego pojąć?

- A ty chcesz nam pokazać jakąś lepszą imitację, tak? - zapytał drwiąco Gryfel. - Stokrotne dzięki. Raz już zrobiono z nas głupców i nie pozwolimy, aby się to powtórzyło.

- Nie ma żadnej imitacji - rzekł Tirian ze złością. - Służę prawdziwemu Aslanowi.

- A gdzie on jest? Kto to taki? Pokaż go nam! - rozległy się głosy.

- Czy myślicie, że trzymam go w worku, głupcy? - odpowiedział Tirian. - A kim ja jestem, żebym go mógł sprowadzić na zawołanie? On nie jest oswojonym lwem.

Gdy tylko wypowiedział ostatnie słowo, zrozumiał, że zrobił fatalny błąd. Karły zaczęły natychmiast skrzeczeć, wyraźnie przedrzeźniając głos szympansa:

- Nie-oswojony-lew! Nie-oswojony-lew! - a jeden z nich dodał: - To właśnie powtarzał nam wciąż tamten Krętacz.

- Czy chcecie powiedzieć, że nie wierzycie w prawdziwego Aslana? - odezwała się Julia. - Ale ja go widziałam na własne oczy! To on przysłał nas tutaj z innego świata.

- Ach, tak! - zaśmiał się Gryfel szyderczo. - To TY tak mówisz. Dobrze cię wyuczono roli. Gadasz, jakbyś to powtarzała setki razy.

- Ty prostaku! - zawołał Tirian. - Ośmielasz się zarzucać kłamstwo damie?

- Zachowaj te gładkie słówka dla swoich dworzan, panie - odpowiedział karzeł.

- Jeśli chodzi o nas, to nie chcemy już żadnych królów, jeśli rzeczywiście JESTEŚ Tirianem, bo wcale na to nie wyglądasz. Nie chcemy żadnych królów i żadnych

Aslanów. Od dzisiaj zamierzamy sami zajmować się swoimi sprawami. Nie będziemy się kłaniać nikomu. Jasne?

- Tak, tak, dobrze mówisz, Gryflu - odezwały się inne karły. - Jesteśmy samorządni, nie należymy już do nikogo. Koniec z Aslanami, królami i bzdurami o innych światach. Karły są dla karłów!

I zaczęli się ustawiać z powrotem w równą kolumnę, gotowe do pomaszerowania tam, skąd przyszły.

- Nędzne kreatury! - zawołał Eustachy. - I nie zamierzacie nawet podziękować nam za to, że wybawiliśmy was od niechybnej śmierci w kopalniach soli?

- Dobrze wiemy, dlaczego to zrobiliście - rzucił Gryfel przez ramię. - Chcieliście nas wykorzystać do swoich celów, ot co. Macie jakieś swoje porachunki i byliśmy wam potrzebni. Szkoda słów, braciszku, idziemy stąd.

Tirian i jego przyjaciele patrzyli, jak odchodzą. Potem król rzucił tylko jedno słowo: „Chodźmy” i ruszyli w drogę.

Szli w całkowitym milczeniu. Łamigłówek czuł się wciąż ogromnie zawstydzony, a poza tym nie bardzo rozumiał, co się właściwie stało. Julię przepełniała odraza do karłów, a prócz tego była wciąż pod tak wielkim wrażeniem zwycięstwa Eustachego nad Kalormeńczykiem, że czuła się trochę onieśmielona. Jeśli chodzi o Eustachego, to serce biło mu wciąż bardzo szybko. Tirian i Klejnot szli na samym końcu, z ponuro zwieszonymi głowami. Król trzymał rękę na szyi jednoroźca, a szlachetne zwierzę od czasu do czasu dotykało nosem jego policzka. Nawet nie próbowali pocieszać się wzajemnie słowami. Prawdę mówiąc, nawet nie umieli znaleźć jakiegoś pocieszenia. Tirianowi nigdy nie przyszło do głowy, że jednym ze skutków ustanowienia przez szympana fałszywego Aslana może być odrzucenie wiary w prawdziwego. Jeszcze kwadrans temu był całkowicie pewien, że karły natychmiast przejdą na jego stronę, gdy tylko pokaże im, jak zostały podstępnie oszukane. Wierzył, że następnej nocy poprowadzi ich na Wzgórze Stajni i ukaże Łamigłówka wszystkim stworzeniom, i wszyscy odwrócą się od Krętacza, i wkrótce - być może po małej utarczce z Kalormeńczykami - będzie już po wszystkim. A teraz okazało się, że nie może być pewien niczego. Ilu innych Narnijczyków zachowa się tak jak te karły?

- Chyba ktoś za nami idzie - odezwał się nagle Łamigłówek.

Wszyscy przystanęli i nasłuchiwali. Rzeczywiście, w ciemności usłyszeli odgłos czyichś małych stóp.

- Kto idzie? - zapytał król.

- To tylko ja, panie - zabrzmiała odpowiedź. - Ja, karzeł Pogin. Dopiero co udało mi się po cichu odłączyć od reszty. Jestem po twojej stronie, panie,

i wierzę w Aslana. Jeśli tylko dostanę do ręki karli miecz, z przyjemnością wymierzę cios we właściwym kierunku, zanim to wszystko się skończy. Powitali go serdecznie, chwając jego odwagę i poklepując po plecach. Oczywiście jeden karzeł nie zmieniał całej sytuacji, ale podniosło to ich na duchu. Wszyscy się ożywili. Jeśli chodzi o Julię i Eustachego, nie

trwało to jednak długo: zmęczenie nie pozwalało im myśleć o czymkolwiek innym poza łóżkiem.

Kiedy dotarli do wieży, nadeszła najchłodniejsza godzina nocy, tuż przed świtem. Gdyby wewnątrz oczekiwał ich posiłek, chętnie by coś zjedli, ale myśl o przygotowaniu jedzenia i opóźnianiu snu zniechęcała wszystkich. Napili się wody ze strumienia, obmyli twarze i wgramolili do cuchnących stęchlizną nisz. Tylko Łamigłówek i Klejnot stwierdzili, że będzie im wygodniej na łące. Nikt się temu nie sprzeciwiał, bo w końcu gdy w jednej izbie znajdzie się jednorozec i gruby, dorosły osioł, zawsze robi się trochę ciasno. Narnijskie karły należą do najbardziej wytrzymałych i silnych stworzeń w tym kraju, nic więc dziwnego, że pomimo ciężkiego dnia i krótkiej nocy Pogin obudził się w pełni wypoczęty i przed wszystkimi. Wziął luk Julii, wyszedł na polanę i ustrzelił parę dzikich gołębi. Potem usiadł na progu, aby je oskubać i oczyścić, gawędząc z Klejnotem i Łamigłówkiem. Osioł czuł się i wyglądał o wiele lepiej niż w nocy. Klejnot, jako jednorozec, był jednym z najszlachetniejszych i najwrażliwszych zwierząt, toteż traktował go z wielką uprzejmością, rozmawiając o rzeczach, które mogły ich obu interesować, takich jak trawa, cukier czy pielęgnowanie kopyt. Kiedy około wpół do jedenastej Julia i Eustachy wyszli z wieży, ziewając i przecierając oczy, karzeł pokazał im, gdzie mogą narwać sporo narnijskiego ziela zwanego dziką fresnią, które przypomina nasz leśny szczaw, ale po ugotowaniu smakuje o wiele lepiej. (Powinno się dodać do niego nieco masła i pieprzu, wtedy jest wyśmienite!) Tak więc mieli już coś, z czego mogli przygotować śniadanie lub - jak kto woli - obiad. Tirian wziął siekierę, poszedł do lasu i przyniósł kilka grubych gałęzi na ogień. Podczas gdy strawa się gotowała - a gotowała się bardzo długo, zwłaszcza że pachniała coraz milej - król wyszukał karli rynsztunek dla Pogina: kolczugę, hełm, tarczę, miecz, pas i sztylet. Potem obejrzał szablę Eustachego i stwierdził, że chłopiec włożył ją do pochwy nie oczyściwszy z krwi

pokonanego Kalormeńczyka.

Skarcił go i kazał mu broń dobrze oczyścić i wypolerować.

W tym czasie Julia chodziła tu i tam, czasem mieszając w garnku, czasem spoglądając zazdrośnie na osła i jednorozca, pasących się na łące z wyraźnym zadowoleniem. Ile razy tego ranka żałowała, że nie może jeść trawy!

Ale gdy w końcu potrawa była gotowa, wszyscy orzekli, że warto było tak długo czekać. Nikt nie odmawiał dokładki. Po posiłku ludzie i karzeł usiedli na progu, czworonogi położyły się przed nimi na trawie, Pogin zapalił fajkę (zapytawszy najpierw o pozwolenie Julię i Tiriana), a król powiedział:

- A teraz, przyjacielu Poginie, opowiedz nam wszystko, co wiesz. Na pewno masz więcej wiadomości o wrogu niż my. Powiedz najpierw, co mówiono o mojej ucieczce.

- To najbardziej chytra opowieść, jaką kiedykolwiek wymyślono, panie - rzekł karzeł. - Opowiadał ją ten kot, Imbir, i dam głowę, że to on ją wymyślił. Ten Imbir, panie... o, to największy cwaniak spośród wszystkich kotów... a więc on mówił, że przechodził koło drzewa, do którego te łotry przywiązały waszą królewską mość. Powiedział, racz mi wybaczyć, że ty, panie, wyłeś ze strachu i wściekłości, przeklinając Aslana słowami, które nawet trudno powtórzyć. Tak powiedział tonem pełnym wyniosłości i świętego oburzenia, jak to koty potrafią, kiedy chcą. A potem, opowiadał dalej Imbir, sam Aslan pojawił się nagle w blasku pioruna i połknął waszą królewską mość za jednym zamachem. Gdy to mówił, wszystkie zwierzęta dygotały ze strachu, a kilka nawet zemdląło. Oczywiście szympans natychmiast to podchwycił. „Sami widzicie - mówił - co Aslan czyni z takimi, którzy nie darzą go szacunkiem. Niech to będzie dla was przestrogą”. A te biedne stworzenia lamentowały, piszczwały i rżały ze strachu, i powtarzały, że nigdy o tym nie zapomną. Tak więc wyszło na to, że ucieczka waszej królewskiej mości wcale nie natchnęła ich otuchą: nie przyszło im do głowy, że masz jeszcze, panie, przyjaciół, którzy mogą ci pomóc. Wszyscy są jeszcze bardziej wystraszeni i posłuszni tej małpie niż przedtem.

- Cóż za diabelska polityka! - zachnął się Tirian. - A więc ten Imbir jest teraz najbliższym doradcą szympansa?

- Ho-ho, trzeba się raczej zapytać, czy przypadkiem szympans nie jest JEGO doradcą. Małpa za często sobie popija. Według mnie, spiskiem kierują teraz Imbir i Riszda, wódz Kalormeńczyków. I myślę, że właśnie podszepty kota sprawiły, że karły odplącały ci taką podłością za to, co dla nich zrobiłeś. Zaraz wytłumaczę, dlaczego tak

myślę. Dwie noce temu, po jednym z tych okropnych małych wieców o północy, wracałem do domu, gdy stwierdziłem, że zostawiłem na wzgórzu fajkę, bardzo dobrą fajkę, moją ulubioną. Więc wróciłem, aby jej poszukać. Ale zanim doszedłem do miejsca, w którym uprzednio siedziałem, a ciemno było jak w grobie, usłyszałem miauknięcie kota, a potem głos Kalormeńczyka: „Tutaj... Mów cicho”. Zamarłem jak posąg i wstrzymałem oddech. To był ten Imbir i Riszda Tarkaan, jak go nazywają. „Szlachetny Tarkaanie - mówi kot swoim jedwabistym głosem - chciałem się upewnić, czy my dwaj rozumiemy to samo przez powiedzenie, że Aslan NIE ZNACZY WIĘCEJ niż Tasz”. A na to tamtem: „Nie ulega wątpliwości, o najmądrzejszy z kotów, że dobrze wiesz, co mam na myśli”. „To znaczy - mówi Imbir - że w ogóle nie istnieje ani żaden Aslan, ani żaden Tasz”. „Wie o tym każdy oświecony człowiek” - odpowiada na to ten czarny diabeł. „A więc możemy się porozumieć - mruczy kot. - Czy i ty, tak jak ja, nie zaczynasz już mieć trochę dosyć tego szympansa?” A tamten mówi: „To tylko głupie, łakome zwierzę, ale jeszcze się przyda. Ty i ja powinniśmy trzymać wszystko w tajemnicy, byleby szympans robił to, co chcemy”. I wiecie, co ten kot wymyślił? „Czy nie można by - mówi - dopuścić do tajemnicy co bardziej oświeconych Narnijczyków, wybierając ich ostrożnie po należytej obserwacji? Bo te zwierzęta, które naprawdę wierzą w Aslana, mogą się w każdej chwili zbuntować. I zrobią to, jeśli głupota szympansa go zdradzi. Natomiast te, których nie obchodzi ani Tasz, ani Aslan, lecz tylko własna korzyść, a więc i nagroda, jaką im może dać Tisrok, gdy Narnia stanie się prowincją Kalormenu, te będą nam wierne”. Kalormeńczykowi bardzo się to spodobało, bo odpowiedział: „Doskonały plan, czcigodny kocie, tylko zachowaj ostrożność, jak je będziesz wybierać”.

Podczas gdy karzeł mówił, pogoda jakby się zmieniła. Kiedy usiedli na progu, świeciło słońce. Teraz Łamigłówek drżał z zimna. Klejnot kręcił niespokojnie głową. Julia popatrzyła na niebo.

- Chmurzy się - powiedziała.

- I zrobiło się tak zimno - dodał Łamigłówek.

- Rzeczywiście zimno, na grzywę Lwa! - rzekł Tirian zacierając ręce. - Tfu! Co za okropny smród!

- Cuchnie jak ściervo - Eustachy skrzywił się z obrzydzenia. - Może jakiś zdechły ptak leży w pobliżu. Ale dlaczego przedtem tego nie czuliśmy?

Nagle Klejnot poderwał się na cztery nogi i wskazał na coś rogiem.

- Spójrzcie! - zawołał. - Patrzcie na to! Patrzcie! Patrzcie!



I wtedy wszyscy to zobaczyli. Na każdej twarzy pojawiła się zgroza.

## ROZDZIAŁ 8

### JAKIE NOWINY PRZYNIÓSŁ ORZEŁ

NA DALEKIM KRAŃCU POLANY, w cieniu drzew, coś się poruszało. Coś sunęło wolno na północ. Na pierwszy rzut oka można by to wziąć za wielki kłęb dymu, bo było szare i trochę przejrzyste. Ale nie pachniało jak dym, tylko ohydnie cuchnęło, a także zachowywało swój kształt, a nie rozwiewało się i kłębiło jak dym. Przypominało człowieka, ale z głową ptaka: jakiegoś drapieżnego ptaka ze strasznym, zakrzywionym dziobem. Potwór miał cztery ramiona, uniesione w górę, jakby chciał zagarnąć w swój uścisk całą Narnię, a każdy z dwudziestu zakrzywionych jak dziób palców kończył się ostrymi, ptasimi szponami. Postać nie tyle kroczyła, co unosiła się nad trawą, która natychmiast żółkła.

Łamigłówek wydał z siebie krótki, żalospny ryk i umknął do wieży. Julia (która, jak wiecie, nie należała do tchórzy) ukryła twarz w dłoniach, by na to nie patrzeć. Pozostali wlepiali oczy w przerażającego potwora przez dobrą minutę, aż zagłębił się w gęsty las po prawej stronie i zniknął. Nagle znowu pojawiło się słońce, a ptaki zaczęły śpiewać.

Minęła jeszcze długa chwila, zanim wszyscy odetchnęli głęboko, poruszyli się i spojrzeli po sobie.

- Co to było? - zapytał Eustachy ochryłym szeptem.

- Już to kiedyś widziałem - rzekł Tirian - ale wówczas było wyrzeźbione z kamienia i pokryte złotem, a zamiast oczu miało wielkie diamenty. Miałem wtedy tyle lat co ty teraz, i gościłem na dworze Tisroka w Taszbaanie. Zaprowadził mnie do wielkiej świątyni Tasza. Tam właśnie to ujrzałem, nad ołtarzem.

- Więc... to coś... to był Tasz?! - wyjąkał Eustachy.

Ale Tirian nie odpowiedział, tylko otoczył ramieniem Julię i zapytał:

- Jak się czujesz, pani?

- W-w-w porządku - odparła Julia, odejmując ręce od bladej twarzy i próbując się uśmiechnąć.

- Nic mi nie jest. Zrobiło mi się tylko trochę niedobrze.

- A więc wygląda na to - rzekł jednorożec - że Tasz naprawdę istnieje.

- Tak - zgodził się Pogin. - A ten głupiec, szympan, który nie wierzył w Tasza, dostanie teraz więcej, niż sam chciał. Wzywał Tasza i Tasz go wysłuchał.

- Gdzie to... to... gdzie on poszedł? - zapytała Julia.

- Na północ, do serca Narnii - odrzekł ponuro król. - Przybył, aby zamieszkać

wśród nas. Wezwali go, a on ich wysłuchał.

- Ho-ho-ho! - odezwał się Pogin, zacierając owłosione dłonie. - Ale zrobi małą niespodziankę! Nie powinno się wzywać demonów, jeśli się dobrze nie wie, co to oznacza.

- Nie wiadomo, czy Tasz w ogóle pokaże się szympansowi - zauważył Klejnot.

- Gdzie się podział Łamigłówek? - zaniepokoił się Eustachy.

Wszyscy zaczęli go nawoływać, a Julia obesła wieżę. Na próżno.

Zmęczeni się już porządnie poszukiwaniami, gdy wreszcie wielki szary łeb wyjrzał ostrożnie przez uchylone drzwi wieży i powiedział:

- Czy już sobie poszło?

A kiedy w końcu zdołali go przekonać, by wyszedł, drżał cały, jak pies przed burzą z piorunami.

- Teraz widzę - rzekł słabym głosem - że naprawdę byłem bardzo złym osłem. Po co ja słuchałem tego Krętacza? Nigdy nie myślałem, że mogą się zacząć dziać takie rzeczy.

- Gdybyś nie marnował tyle czasu na powtarzanie, że nie jesteś mądry, a poświęcił więcej czasu na to, by starać się zmądrzeć... - zaczął Eustachy, ale Julia mu przerwała:

- Och, zostaw w spokoju biednego, starego Łamigłówka! Przecież to wszystko polegało na nieporozumieniu, prawda, kochany Łamigłówek? - I pocałowała go w nos.

Wstrząśnięci tym, co zobaczyli, znowu usiedli na progu, aby wrócić do przerwanej narady.

Klejnot niewiele miał do opowiedzenia. Jako więzień przez cały czas był uwiązany na tyłach Stajni i nie miał okazji do podsłuchania czegoś, co dostarczyłoby im informacji o planach wroga. Został zbity, skopany (udało mu się oddać kilka kopnięć) i zagrożono mu śmiercią, jeśli nie wyzna publicznie wiary w to, że sam Aslan ukazuje się co noc przy ognisku. W rezultacie miał być uśmiercony jeszcze tego ranka i tylko śmiały wypad przyjaciół uratował mu życie. Nic nie wiedział o dalszym losie jagnięcia.

Teraz musieli postanowić, czy mają wrócić jeszcze tej nocy na Wzgórze Stajni, pokazać Łamigłówek Narnijczykom i próbować ich przekonać, jak nędznie zostali oszukani, czy też wymknąć się stąd dalej na wschód, aby spotkać posiłki prowadzone przez centaury Runwida z Ker-Paravelu i dopiero wtedy stawić czoło szympansowi i

Kalormeńczykom. Tirianowi bardzo odpowiadał pierwszy plan, nie mógł znieść myśli, że szympans będzie terroryzował jego poddanych jeszcze choćby

przez godzinę dłużej. Z drugiej strony zachowanie się karłów - to poważne ostrzeżenie. Nie wiadomo, jak postąpią zastraszone zwierzęta nawet wówczas, gdy zobaczą Łamigłówa. Należało też liczyć się z siłą kalormeńskich żołnierzy. Według Pogina było ich około trzydziestu. Tirian twierdził, że jeśli Narnijczycy opowiedzą się po jego stronie, on sam, Klejnot, dzieci i karzeł (na Łamigłówa nie mogli liczyć) mają szansę na zwycięstwo. Ale co będzie, gdy przynajmniej połowa Narnijczyków - włączając w to karły - po prostu siądzie, aby się beczynnie przyglądać, albo nawet zacznie walczyć po stronie Kalormeńczyków? Ryzyko było zbyt duże. W dodatku pojawił się przecież ten straszny, chmurzasty Tasz.

Pogin dowodził, że nie zaszkodzi zostawić szympansa z jego własnymi kłopotami przez dzień lub dwa. Teraz już nie miał do pokazania w nocy Łamigłówa w lwiej skórze. Trudno zgadnąć, co on lub Imbir wymyślą, aby to wytłumaczyć Narnijczykom. Nawet najbardziej prostoduszne zwierzęta mogą zacząć coś podejrzewać, jeśli noc po nocy będą się bezskutecznie domagać zobaczenia Aslana.

W końcu wszyscy zgodzili się, że jednak najlepiej wyruszyć na spotkanie Runwida. Gdy tylko to postanowili, poczuli się raźniej na duchu. Jestem przekonany, że żadne z nich (no, może z wyjątkiem Julii i Eustachego) nie lękało się walki. Przypuszczam jednak, iż w głębi serca każdy odczuł ulgę z powodu wyboru drogi oddalającej ich - przynajmniej w najbliższym czasie - od tej potwornej, ptasiogłowej istoty, która - widzialna czy niewidzialna - najprawdopodobniej nawiedziła już Wzgórze Stajni. Tak czy inaczej, każdy zawsze czuje się lepiej, gdy w końcu podejmie jakąś decyzję.

Zgodzono się też chętnie z Tirianem, że trzeba pozbyć się kalormeńskich przebrań, narażających ich na przypadkowy atak ze strony jakiejś grupy lojalnych Narnijczyków. Karzeł sporządził okropnie wyglądające mazidło z popiołu zmieszanego z tłuszczem używanym do smarowania mieczy i włóczni. Zdjęli kalormeńskie kolczugi i poszli nad strumień. Mazidło Pogina dawało pianę jak płynne mydło i wkrótce można było zobaczyć na łące miłą, rodzinną scenę: Tirian i dzieci kłęczeli nad wodą, szorując sobie twarze i szyje, prychając i opryskując się wodą. Wrócili do wieży z czerwonymi, jaśniejącymi twarzami, jak ludzie po nadzwyczajnej kąpieli przed odświętnym przyjęciem. Uzbroili się po narnijsku w długie, proste miecze i trójkątne tarcze.

- No, tak jest lepiej - westchnął z ulgą Tirian. - Znowu czuję się jak prawdziwy człowiek.

Łamiąłówek błagał, by mu zdjęto lwią skórę. Twierdził, że mu za gorąco i niewygodnie z tym ciężkim tobołem na karku i że w ogóle wygląda bardzo głupio. Powiedziano mu jednak, że chociaż najpierw mają się spotkać z Runwidem, musi ją jeszcze trochę ponosić, żeby pokazać się w tym przebraniu wszystkim Narnijczykom.

Z mięsa dzikich gołębi i królika zostało niewiele, ale zabrali na drogę trochę sucharów. Potem Tirian zamknął drzwi wieży na klucz i tak zakończył się ich pobyt w zachodniej strażnicy.

Po drugiej po południu wyruszyli w drogę. Był pierwszy naprawdę ciepły dzień tej wiosny. Młode liście wyglądały na o wiele większe niż wczoraj, znikły plamy śniegu, gdzieniegdzie pojawiły się pierwiosnki. Słońce przedzierało się przez gałęzie drzew, ptaki śpiewały, a zewsząd (choć nie wiadomo dokładnie skąd) dobiegał wesoły plusk spływającej wody. Trudno było myśleć o czymś tak strasznym jak Tasz. Dzieci poczuły, że wreszcie są w prawdziwej Narnii. Nawet Tirianowi zrobiło się lżej na sercu i idąc na przedzie, podśpiewywał stary narnijski marsz z refrenem:

Hej, dudni, dudni, dudni Młócony pałkami bęben!

Za królem szli obok siebie Eustachy i karzeł Pogin. Można powiedzieć, że Julia zupełnie się zakochała w jednoroźcu. Uznała go - i chyba się nie myliła - za najwrażliwsze, najwdzięczniejsze i najmiłsze zwierzę, jakie kiedykolwiek spotkała, a mówił tak łagodnie i miękko, że kto go dobrze nie znał, nigdy by nie uwierzył, jak straszny i dziki jest w walce.

- Och, jakie to cudowne! - westchnęła Julia. - Po prostu tak sobie iść. Bardzo bym chciała, żeby było więcej TAKICH przygód. Wiesz, szkoda, że w Narnii zawsze tyle się dzieje.

Ale Klejnot wyjaśnił jej, że się myli. Synowie i Córki Adama zawsze przybywają do Narnii ze swojego dziwnego świata w momencie wielkiego niepokoju i zagrożenia, ale to wcale nie oznacza, że zawsze tak jest. Między ich odwiedzinami upłynęły setki i tysiące lat, w których król po królu panowali spokojnie i szczęśliwie, tak że trudno nawet zapamiętać ich imiona lub kolejność, i nie zdarzało się prawie nic, co można by zapisać w kronikach. Opowiadał jej też o dawnych królach i bohaterach, o jakich nigdy przedtem nie słyszała. Snuł opowieści o królowej Łabędziej Śnieżce (która żyła jeszcze przed Białą Czarownicą i Wielką Zimą), tak pięknej, że kiedy spojrzała w leśną sadzawkę, odbicie jej twarzy jaśniało z wody jak gwiazda na wieczornym niebie

jeszcze przez rok i jeden dzień. Mówił o Księżycowym Zającu, który miał takie uszy, że mógł siedzieć nad Kotłem wśród grzmotu Wielkiego Wodospadu i słyszeć, co mówią szeptem ludzie w Ker-Paravelu. Opowiadał, jak to król Zefir, dziewiąty w kolejności monarcha po Franku, pierwszym ze wszystkich królów, pożeglował na wschodnie morze i uwolnił Samotne Wyspy od smoka, i jak z wdzięczności za to mieszkańcy oddali Wyspy królom Narnii w wieczyste posiadanie. Opowiadał o owych stuleciach, w których w Narnii panował taki spokój, że pamiętano z nich tylko jakieś nadzwyczajne uczty, bale, a zwłaszcza turnieje, a każdy dzień i tydzień był lepszy od poprzedniego. I kiedy jednorożec snuł swe opowieści, obraz tych wszystkich szczęśliwych setek i tysięcy lat wypełnił wyobraźnię Julii, aż poczuła się tak, jakby patrzyła z wysokiego wzgórza na cudowną, bogatą równinę, pełną rzek i jezior, lasów i pól uprawnych, rozciągającą się hen, daleko, aż po ginący we mgle widnokrąg. I powiedziała:

- Och, naprawdę, tak bym chciała, żebyśmy sobie szybko poradzili z tą małpą i powrócili do tych dobrych, zwykłych czasów. I mam nadzieję, że będą już trwały i trwały - wiecznie. NASZ świat pewnego dnia dobiegnie końca, ale może TEN będzie trwać wiecznie? Och, Klejnocie, czy nie byłoby cudownie, gdyby Narnia była zawsze taką Narnią, o jakiej mi opowiadałeś?

- Niestety, siostró moja - odrzekł Klejnot. - Wszystkie światy biegną do swojego końca, z wyjątkiem krainy samego Aslana.

- No cóż, w każdym razie mam nadzieję, że od końca tego świata dzielą nas miliony milionów lat... Hej! Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Król, Eustachy i karzeł wpatrywali się w niebo. Julię przeszedł dreszcz, bo przypomniawszy sobie, co już dzisiaj zobaczyli. Ale tym razem to, co dostrzegła, nie przestraszyło jej. Zobaczyła mały, czarny punkt na tle niebieskiego nieba.

- Sądząc po locie, przysięgłbym, że to jakiś mówiący ptak - rzekł jednorożec.

- Ja też tak myślę - zgodził się król. - Nie wiemy jednak, czy to przyjaciel, czy szpieg, sługa szympansa.

- To mi wygląda na orła Dalwida - powiedział karzeł.

- Czy nie powinniśmy ukryć się pod drzewami? - zapytał Eustachy.

- Nie - odparł Tirian. - Najlepiej stać nieruchomo jak posągi. Jeśli się poruszymy, natychmiast nas zobaczy.

- Patrzcie! Zatacza koło, już nas zobaczył! - powiedział Klejnot. - Zniża się wielkimi kołami.

- Strzała na cięciwę, pani - rzekł Tirian do Julii. - Ale nie waż się strzelić, dopóki nie dam znaku. Może to przyjaciel.

Gdyby mieli pewność, że tak jest, widok szybującego i opadającego miękko na ziemię ptaka byłby niewątpliwie wspaniałym przeżyciem. Orzeł usiadł z wdziękiem na skalnym występie tuż przed Tirianem, skłonił głowę uwieńczoną wspaniałym grzebieniem i powiedział dziwnym, orlim głosem:

- Bądź pozdrowiony, królu!

- Witaj, Dalwidzie - odrzekł Tirian. - Skoro nazywasz mnie królem, wierzę, że nie należysz do zwolenników małpy i fałszywego Aslana. Rad jestem, że cię spotykam.

- Panie - rzekł orzeł - kiedy usłyszysz nowiny, jakie przynoszę, moje przybycie zasmuci cię bardziej niż straty, jakie dotąd poniosłeś.

Tirianowi serce zamarło na te słowa, ale zacisnął zęby i rzucił tylko:

- Mów.

- Ujrzałem dwa straszne widoki. Jeden - to Ker-Paravel pełen martwych Narnijczyków i żywych diabłów z Kalormenu. Flaga Tisroka powiewała na królewskich murach, a twoi poddani uciekali z grodu na wszystkie strony, kryjąc się w lasach. Ker-Paravel został wzięty znienacka z morza. Dwie noce temu dwadzieścia wielkich okrętów z Kalormenu przybiło w ciemności do brzegu.

Nikt nie mógł wypowiedzieć choćby jednego słowa.

- Drugi widok, jakieś piętnaście mil od Ker-Paravelu, to centaur Runwid leżący bez życia, z kalormeńską strzałą w boku. Byłem przy nim aż do ostatniej chwili i oto, co kazał powtórzyć waszej królewskiej mości: „Pamiętaj, że wszystkie światy biegną do swego końca, oraz że szlachetna śmierć jest skarbem i nikt nie jest zbyt ubogi, aby go nabyć”.

- A więc - rzekł król po długiej chwili ciszy - nie ma już Narnii.

## ROZDZIAŁ 9

### WIELKIE ZGROMADZENIE NA WZGÓRZU STAJNI

PRZEZ DŁUGI CZAS nikt nie był w stanie przemówić, czy nawet uronić łzy. Potem jednorożec tupnął kopytem w ziemię, wstrząsnął grzywą i powiedział:

- Panie mój, niepotrzebna tu żadna narada. Teraz jest jasne, że szympans obmyślił wszystko o wiele lepiej i dokładniej, niż sądziliśmy. Bez wątpienia miał od dawna tajne konszachty z Tisrokiem i gdy tylko znalazł lwią skórę, dał mu znać, by przygotował swą flotę do ataku na Ker-Paravel i na całą Narnię. Nam siedmiorgu nie pozostaje już nic prócz powrotu na Wzgórze Stajni, oznajmienia prawdy i zdania się na taki los, jaki nam Aslan ześle. A jeśli zdarzy się cud i pobijemy tych trzydziestu Kalormeńczyków, którzy są z szympansem, to czeka nas śmierć w bitwie z wielką armią, która wkrótce wyruszy z Ker-Paravelu.

Tirian pokiwał głową. Zwrócił się do dzieci i powiedział:

- Nadszedł czas, moi przyjaciele, abyście powrócili do waszego świata. Każdy przyzna, że uczyniliście już to, po co zostaliście tu przysłani.

- A-a-ale my nic jeszcze nie zrobiliśmy - wyjąkała Julia, drżąc nie tyle ze strachu, ile z grozy całej sytuacji.

- Nieprawda - rzekł król. - Najpierw uwolniliście mnie tam, w lesie, potem ty, Julio, wiodłaś nas przez puszcze, ślizgając się jak wąż w ciemnościach, i przyprowadziłaś Łamigłówka, a ty, Eustachy, zabiłeś Kalormeńczyka. Jesteście jednak za młodzi, by dzielić z nami tak krwawy koniec, jaki przypadnie nam w udziale tej nocy lub najpóźniej za trzy dni. Błagam was! Nie, rozkazuję wam: wracajcie tam, skąd przybyliście. Okryłbym się hańbą, gdybym poprowadził tak młodych rycerzy do tak beznadziejnej bitwy.

- Nie, nie, nie! - przerwała mu Julia, bardzo blada, gdy zaczęła mówić, potem nagle bardzo czerwona i znowu blada. - Nigdzie stąd nie odejdziemy i nie obchodzi mnie, co mówisz. Wytrwamy przy tobie do końca, cokolwiek się stanie, prawda, Eustachy?

- Oczywiście, ale i tak nie ma sensu o to się spierać - rzekł Eustachy, wsadziwszy ręce do kieszeni (i zapominając, jak dziwacznie to wygląda, jeśli się ma na sobie koleczugę). - Bo, widzicie, nie mamy żadnego wyboru. Co komu przyjdzie z mówienia o naszym powrocie, jeśli zupełnie nie wiemy, jak to zrobić? Przecież nie mamy magicznych pierścieni?

To, co powiedział, brzmiało bardzo rozsądnie, ale Julia rozszarpałaby go za to



na strzępy. Eustachy zawsze myślał piekielnie trzeźwo, nawet kiedy innych ogarniało podniecenie.

Gdy Tirian zrozumiał, że dwoje przybyszów nie może wrócić do swojego świata (chyba żeby Aslan nagle ich tam zdmuchnął), zaczął nalegać, by udali się przez góry na południe, do Archenlandii, gdzie prawdopodobnie byłiby bezpieczni. Okazało się jednak, że nie znają drogi, a nie miał kto im towarzyszyć. Pogin dodał, że kiedy Kalormeńczycy opanują już całą Narnię, z pewnością zaatakują zaraz Archenlandię; Tisrok zawsze marzył o podbiciu wszystkich północnych krain. Eustachy i Julia tak usilnie błagali Tiriana, że w końcu musiał się zgodzić, by z nim zostali i spotkali swój los lub - jak to o wiele lepiej wyraził - „przygodę, jaką ześle im Aslan”.

Z początku król opowiadał się za tym, by wrócić na Wzgórze Stajni - wszystkim robiło się teraz niedobrze na sam dźwięk tej nazwy - dopiero gdy zrobi się ciemno. Pogin dowodził jednak, że jeśli dojdą tam za dnia, najprawdopodobniej nie zastaną nikogo, może tylko kalormeńskiego wartownika. Wszystkie zwierzęta są zbyt przerażone tym, co im Krętacz i Imbir powiedzieli o „nowym”, rozeźlonym Aslanie - czyli TASZLANTE - aby zbliżyć się do Wzgórza, jeśli nie są wzywane na owe okropne zgromadzenia o północy. Kalormeńczycy nigdy nie czuli się dobrze w lesie. Według karła nawet w pełnym świetle dnia mogą z łatwością dostać się nie zauważeni na tyły Stajni, natomiast stanie się to o wiele trudniejsze, gdy szympans zwoła zwierzęta i wszyscy Kalormeńczycy obejmą służbę. A kiedy zacznie się zgromadzenie, mogą ukryć Łamigłówa za Stajnią, żeby go nikt nie zobaczył aż do chwili, w której sami zechcą go pokazać. Był to z pewnością dobry pomysł, jako że ich jedyna szansa polegała na zaskoczeniu Narnijczyków.

Wszyscy się zgodzili i natychmiast ruszyli w nowym kierunku - na północny wschód - ku zniechęconemu Wzgórzowi. Orzeł polatywał tu i tam nad nimi, a czasem przysiadł na grzbiecie Łamigłówa. Nikt nawet nie myślał o tym, by JECHAĆ na jednorożcu. Mógł to zrobić jedynie król w razie wielkiej potrzeby.

Tym razem Eustachy i Julia szli obok siebie. Kiedy prosili króla, aby im pozwolił ze sobą zostać, czuli się bardzo dzielnie, ale teraz męstwo ich opuściło.

- Julio Pole - szepnął Eustachy - muszę ci wyznać, że jestem zupełnie wykończony.

- Och, TY to co innego, Scrubb - odrzekła Julia. - Ty możesz walczyć. Ale ja... ja się po prostu cała trzęsę ze strachu, jeśli chcesz znać prawdę.

- Trzęsienie się to jeszcze nic, ale robi mi się niedobrze.

- Na miłość boską, nie mów o TYM! Szli w milczeniu przez minutę lub dwie.

- Julio - odezwał się znowu Eustachy.

- Co?

- Co się stanie, jak nas zabiją?

- No, chyba będziemy martwi.

- Ale chodzi mi o to, co stanie się w naszym świecie. Czy obudzimy się znowu w pociągu? A może po prostu znikniemy i nikt już więcej o nas nie usłyszy? Albo może znajdą nas nieżywych w Anglii?

- Ojej! Nie pomyślałam o tym.

- To by okropnie wstrząsnęło Piotrem i innymi. Pomyśl: zobaczyli mnie, jak macham do nich z okna pociągu, a potem pociąg przyjeżdża, staje, i nigdzie nas nie ma! Albo znajdują dwa... to znaczy, jeśli tam też umrzemy...

- Och! - jęknęła Julia. - Co za okropny pomysł!

- Ale nie takie okropne DLA NAS. Nas tam już nie będzie.

- Wiesz, wołałabym prawie... nie, nie, jednak nie...

- Co chciałaś powiedzieć?

- ZAMIERZAŁAM powiedzieć, że wołałabym, abyśmy tu wcale nie przybyli. Ale nie, teraz już wcale tego nie chcę, nie chcę, nie chcę. Nawet gdyby nas zabili. Wolę umrzeć, walcząc za Narnię, niż rosnać i głupieć tam, w domu, i może w końcu poruszać się w takim wózku dla chorych, a potem i tak umrzeć.

- Albo być zmiażdżonym przez Brytyjskie Koleje Państwowe.

- Co ci przyszło do głowy?

- No wiesz, jak się zdarzyło to szarpnięcie, to, które nas przeniosło do Narnii, pomyślałem, że to początek katastrofy kolejowej. Dlatego jeszcze bardziej się ucieszyłem, kiedy się znaleźliśmy tutaj.

Gdy Julia i Eustachy rozmawiali, pozostali dyskutowali nad szczegółami planu. Rozpacz powoli ich opuszczała. Zastanawiali się bowiem teraz przede wszystkim nad tym, co mają zrobić już niedługo, tej nocy, i myśl o tym, co stało się z całą Narnią - o tym, że jej chwała, radości i dobrobyt przeminęły - została zepchnięta gdzieś na dno ich serc. Gdyby tylko przestali rozmawiać, na pewno wróciłyby z jeszcze większą, obezwładniającą mocą, ale oni wciąż podtrzymywali rozmowę. Pogin wydawał się wręcz uradowany tym, co ich czeka tej nocy. Był pewien, że dzik i niedźwiedź, a może również i wszystkie psy od razu staną po ich stronie. Nie mógł też uwierzyć, by wszystkie pozostałe karły zgadzały się z Gryflem. Poza tym walka przy ognisku, z

możliwością przenoszenia jej do ciemnego lasu i z powrotem, dawała większe szansę słabszej stronie. A jeśli uda im się zwyciężyć tej nocy, to czy naprawdę muszą pożegnać się z życiem i przyjąć beznadziejną walkę z głównymi siłami Kalormenu kilka dni później? Dlaczego nie ukryć się w puszczy albo nawet wyżej, na Zachodnim Odludziu, za Wielkim Wodospadem, i tam zbierać powoli siły? Mówiące zwierzęta i Archenlandczycy będą się na pewno do nich przyłączać dzień po dniu. I w końcu będzie można wyjść z kryjówek i uderzyć na Kalormeńczyków, którzy po jakimś czasie przestaną się mieć na baczności. Coś podobnego już się raz wydarzyło za panowania króla Miraza!

A Tirian słuchał tego wszystkiego i myślał: „A co z Taszem?” W głębi serca czuł, że nie spełni się nic z tego, o czym z takim zapalem mówił Pogin. Ale nie powiedział tego na głos.

Kiedy podeszli do Wzgórza Stajni, wszyscy się uciszyli. Teraz zaczęły się prawdziwe leśne podchody. Od momentu, w którym zobaczyli Wzgórze, do znalezienia się na tyłach Stajni upłynęły ponad dwie godziny. Trudno tę drogę opisać, jeśli się nie chce poświęcić na to wielu stron - a ja nie chcę. Wielką przygodę stanowiło już samo przekradanie się od jednego zakrytego miejsca do drugiego, a trzeba do tego dodać bardzo dłużące się chwile oczekiwania między tymi przeskokami, a także wiele fałszywych alarmów.

Jeśli jesteście prawdziwymi harcerzami, sami dobrze wiecie, na czym to wszystko polegało. Zachód słońca zastał ich już ukrytych bezpiecznie w zagajniku ostrokrzewów, około dziesięciu metrów od tylnej ściany Stajni. Każdy dostał parę sucharów i legł w trawie. Teraz nadeszło najgorsze: oczekiwanie. Na szczęście dzieci zdrzemnęły się na parę godzin, ale obudziło je zimno, a co gorsza, bardzo chciało im się pić. Łamigłówek po prostu stał bez ruchu, miał nerwowe dreszcze i nie wydawał żadnego dźwięku. Za to Tirian, z głową wspartą na boku Klejnota, spał tak zdrowo, jakby leżał w królewskim łóżu w Ker-Paravelu. Obudził go dopiero dźwięk gongu. Usiadł i zobaczył, że po drugiej stronie Stajni płonie już ognisko. Nadszedł czas wielkiej próby.

- Pocałujmy się, Klejnocie - szepnął. - Jestem pewien, że to nasza ostatnia noc na tym świecie.

Jeśli kiedykolwiek uraziłem cię czymś, dużym czy małym, wybac mi to teraz.

- Umiłowany królu - odparł jednorożec - prawie bym chciał, aby tak było, bo mógłbym ci teraz wybaczyć. Zegnaj. Przeżyliśmy razem wiele radosnych chwil. Gdyby

Aslan dał mi prawo wyboru, nie wybrałbym innego życia niż to, jakie miałem, i innej śmierci niż ta, która nas czeka.

Obudzili Dalwida, który spał z głową schowaną pod skrzydłem (sprawiało to wrażenie, jakby w ogóle nie miał głowy), i podczołgali się do Stajni. Zostawili za nią Łamigłówka (nie szczędząc mu miłych słów, bo nikt już nie miał do niego żalu), przykazując, by się nie ruszał, dopóki ktoś po niego nie przyjdzie, a sami zajęli pozycję przy jednym z boków Stajni.

Ognisko, od którego dzieliło ich parę metrów, dopiero się rozpałało. Tłum Narnijczyków stał po drugiej stronie, tak że początkowo Tirian nie widział ich zbyt dobrze, choć oczywiście dostrzegał tuziny oczu świecących w blasku ognia, tak jak się widzi oczy królika lub kota w świetle samochodowych reflektorów. Właśnie gdy Tirian zajął swoją pozycję, gong przestał bić i gdzieś z lewa pojawiły się trzy postacie. Jedną był wódz Kalormeńczyków, Riszda Tarkaan. Drugą zaś szympans Krętacz. Trzymał się jedną ręką Tarkaana i mamrotał przez cały czas: „Nie tak szybko, nie tak szybko, nie czuję się dziś najlepiej. Och, moja głowa! Te wiece o północy zaczynają mnie męczyć. Małpy nie są stworzone do czuwania w nocy. Przecież nie jestem szczurem albo nietoperzem. Och, moja biedna głowa!” Z drugiej strony szympansa, krocząc bardzo dostojnie i miękko, z ogonem postawionym pionowo, szedł kot Imbir. Cała trójka podeszła do ogniska i znalazła się tak blisko Tiriana, że z pewnością by go dostrzegli, gdyby popatrzyli we właściwym kierunku. Na szczęście nikt tego nie zrobił. Tirian usłyszał, jak Riszda szepce do Imbira:

- Teraz, kocie, zajmij swoje miejsce. Tylko dobrze zagraj tę rolę.

- Miau, miau. Polegaj na mnie - odparł Imbir. Potem oddalił się od ogniska i usiadł w pierwszym rzędzie zgromadzonych zwierząt: na widowni, jak można by powiedzieć.

Bo w rzeczy samej, gdy się na to wszystko patrzyło, przypominało to teatr. Tłum Narnijczyków wyglądał jak widzowie w fotelach; mała, porośnięta trawą przestrzeń przed Stajnią, gdzie płonęło ognisko i stał Krętacz z Riszdą Tarkaanem, aby przemawiać do tłumu - jak scena; sama Stajnia - jak dekoracja z tyłu sceny; Tirian i jego przyjaciele - jak ludzie podglądający scenę i widownię zza kulis. Zajęli znakomite stanowisko: wystarczyło zrobić parę kroków ku ognisku, a wszystkie oczy natychmiast by się na nich zwróciły, natomiast dopóki pozostawali w cieniu Stajni, mogli mieć nadzieję, że pozostaną nie zauważeni.

Riszda Tarkaan pociągnął za sobą szympansa do samego ogniska. Odwrócili się

twarzami do tłumy, co - rzecz jasna - oznaczało, że stali teraz plecami do Tiriana i jego towarzyszy.

- Dalej, małpo - powiedział cicho Riszda - powiedz to, co wymyśliły mądrzejsze od ciebie głowy.

I wyprostuj się! - Po czym kopnął niepostrzeżenie szympansa z tyłu końcem buta.

- Daj mi spokój! - wymamrotał Krętacz. Ale wyprostował się nieco i zaczął przemawiać donośnym, skrzeczącym głosem:

- Posłuchajcie mnie wszyscy! Wydarzyło się coś strasznego. Coś bardzo niegodziwego. Coś tak nikczemnego jeszcze nigdy nie wydarzyło się w Narnii. Aslan...

- Tazlan, głupcze - syknął Riszda.

- ...a więc Tazlan bardzo się z tego powodu rozgniewał.

Wszystkie zwierzęta zamarły w oczekiwaniu na wieść o nowych grożących im kłopotach. Mała grupka ukryta w cieniu Stajni wstrzymała oddechy. Co on teraz powie?

- Tak - ciągnął szympans. - W tym samym czasie, gdy Straszliwy jest pośród nas, tam, w tej oto Stajni poza mną, w tym samym czasie pewien podły zwierzak uczynił coś, czego nikt nie ośmieliłby się uczynić nawet wówczas, gdyby on był tysiące mil stąd. Ten bezczelny zwierzak ubrał się w skórę lwa i chodzi sobie po lesie, udając, że jest Aslanem!

Julia przez chwilę myślała, że szympans zwariował. Czyżby zamierzał powiedzieć im całą prawdę? Nad zgromadzeniem przetoczył się ryk zgrozy i wściekłości.

- Grrrrr! Wrrrrr! Kto to jest? Gdzie on jest? Pozwólcie nam zatopić w nim zęby!

- To zwierzę widziano zeszłej nocy - zawołał piskliwie szympans - ale uciekło! To osioł! Zwykły, nędzny osioł! Jeżeli ktoś z was zobaczy osła...

- Grrrr! Wrrrr! - zawarczały zwierzęta. - Lepiej niech nie wchodzi nam w drogę!

Julia spojrzała na króla: miał otwarte usta i twarz pełną zgrozy. I nagle zrozumiała diabelski podstęp wroga. Mieszając kłamstwo z prawdą, uczynił swoje oszustwo o wiele bardziej przekonującym. Cóż im teraz da powiedzenie zwierzętom, że osioł został przebrany za lwa, aby ich oszukać? Szympans powie tylko: „Właśnie wam to mówiłem”. Co im da pokazanie Łamigłówek w lwiej skórze? Rozszarpia go na kawałki.

- Wytrącili nam oręż z ręki - szepnął Eustachy.
- Straciliśmy grunt pod nogami - rzekł cicho Tirian.
- Przekłeta, przekłeta przebiegłość - wycedził Pogin. - Mogę przysiąc, że to nowe kłamstwo jest dziełem Imbira.

## ROZDZIAŁ 10

### KTO WEJDZIE DO STAJNI?

JULIA POCZUŁA, ZE coś ją laskocze w ucho. To jednorożec Klejnot szeptał jej coś swoimi szerokimi, końskimi ustami. Skinęła głową i podbiegła na palcach do Łamigłówa. Szybko przecięła ostatnie sznurki utrzymujące na nim lwią skórę. Po tym, co powiedział szympans, nie mogą go schwytać w TYM stroju. Bardzo chciała ukryć gdzieś dalej samą skórę, ale była dla niej za ciężka. Udało jej się tylko wepchnąć ją nogą między najgęstsze krzaki. Potem dała znak Łamigłówowi, aby za nią poszedł, i wróciła do pozostałych. Szympans znów przemawiał.

- A po tym ohydny występku Aslan... Taszlan jest jeszcze bardziej zły niż przedtem. Mówi, że był dla was za dobry, wychodząc co noc, aby się wam pokazać. Tak, głupcy, Aslan już więcej nie wyjdzie!

Rozległy się piski, miauki, skowyty i chrząkania. Nagle zupełnie inny głos wybił się z tego lamentu, a był to donośny śmiech.

- Posłuchajcie tylko tej małpy! - zawołał gruby głos, gdy skończył się śmiać w całkowitej ciszy. - Ale my dobrze wiemy, dlaczego ten wspaniały Aslan już nie wyjdzie. Powiem wam dlaczego: bo szympans już go nie ma. Nigdy go nie miał. Nigdy nie miał nic prócz starego osła w lwiej skórze na grzbiecie. A teraz gdzieś mu TO zaginęło i nie wie, biedak, co robić.

Tirian nie widział dobrze twarzy po drugiej stronie ogniska, ale głowę by dał, że to głos Gryfla, wodza karłów. Upewnił go w tym chór karlich głosów, który zaczął skandować:

- Nie wie, co robić! Nie wie, co robić! Nie wie, co robić!

- Cisza! - zagrział Riszda Tarkaan. - Uciszcie się, dzieci błota! A wy, pozostali Narnijczycy, słuchajcie mnie albo każę moim wojownikom uderzyć na was z gołymi mieczami. Lord Krętacz już wam opowiedział o tym niegodziwym osle. Ale czy myślicie, że wobec tego w Stajni nie ma PRAWDZIWEGO Taszlana? Tak myślicie? Strzeżcie się! Strzeżcie się!

- Nie! Nie! - ryknął tłum. Ale z grupy karłów dały się słyszeć okrzyki:

- Zgadza się, czarniawy, my tak myślimy. Dalej, małpo, pokaż nam, co jest w tej Stajni. Jak zobaczymy, to uwierzymy.

Szympan wykorzystał chwilę ciszy i powiedział:

- Wy, karły, uważacie się za wielkie mądrale, prawda? Ale nie tak szybko. Nigdy nie powiedziałem, że nie możecie zobaczyć Taszlana. Każdy, kto zechce, będzie go

mógł zobaczyć.

Nad całym zgromadzeniem zapadła głucha cisza. A potem - minęła chyba minuta - rozległ się pełen zdziwienia głos niedźwiedzia, z pewnym trudem dobierającego słowa:

- Nic z tego nie rozumiem. Myślałem... to znaczy... chyba sam mówiłeś, że...

- TY myślałeś! - parsknął szympans. - Tak jakby to, co się dzieje w twojej głowie, można nazwać myśleniem! Posłuchajcie mnie wszyscy! Każdy może zobaczyć Taszlana. Ale on nie wyjdzie. To WY musicie wejść do środka, żeby go zobaczyć.

- Och, to wspaniale! Dzięki ci, dzięki - rozległy się głosy. - Tego właśnie chcieliśmy! Możemy wejść i zobaczyć go twarzą w twarz. I on będzie teraz na pewno miły, i wszystko będzie tak, jak zawsze bywało.

Ptaki zaczęły ćwierkać, a psy ujadać w wielkim podnieceniu. A potem wybuchło wielkie zamieszanie, dał się słyszeć tumult i w ciągu jednej sekundy wszyscy runęli jednocześnie ku Stajni, starając się dostać jak najbliżej drzwi.

- Spokój! - wrzasnął Krętacz. - Wracać na swoje miejsca! Nie tak szybko!

Zwierzęta zatrzymały się raptownie, wiele łap zawisło w powietrzu, wiele ogonów kiwało się zawzięcie, a wszystkie głowy odwróciły się ku szympansowi.

- Myślałem... przecież powiedziałeś... - zaczął niedźwiedź, ale Krętacz przerwał mu:

- Każdy może wejść do środka, ale nie wszyscy jednocześnie. Tylko pojedynczo. Kto wejdzie pierwszy? On NIE powiedział, że jest dziś w nadzwyczaj przyjaznym nastroju. Bardzo się oblizywał, gdy zeszłej nocy połknął tego niegodziwego króla. Dzisiaj rano strasznie warczał. Ja sam nie wszedłbym do niego tej nocy. Ale róbcie, jak chcecie. Kto chce wejść pierwszy? Tylko nie miejcie do mnie żalu, jeśli was połknie w całości lub spali na popiół samym spojrzeniem. To wasza sprawa. No więc, kto pierwszy? Może któryś z was, karły?

- Raz-dwa-trzy, wychodź ty! Wejdz do środka, a zobaczysz, co cię spotka - warknął Gryfel szyderczo. - Skąd mamy wiedzieć, co trzymasz w środku?

- Ho-ho! - zawołał z triumfem szympans. - A więc zaczynacie już myśleć, że może jednak COŚ jest w środku? No co, zwierzęta, jeszcze minutę temu robiłyście taki rwetes. Co to, oniemiałyście? Kto wchodzi pierwszy?

Ale wszystkie stworzenia stały w milczeniu, patrząc po sobie, a potem zaczęły powoli odchodzić od Stajni. Już nie machały ogonami. Szympans miotał się wokół ogniska, chichocząc i szydząc:



- Ho-ho! A myślałem, że każdy chce zobaczyć Taszlana twarzą w twarz. Zmieniłyście zamiar, co?

Tirian pochylił głowę, aby usłyszeć, co Julia szepce mu do ucha.

- Jak myślisz, co jest naprawdę w tej Stajni? - zapytała.

- Kto to może wiedzieć? Założę się, że dwóch Kalormenczyków z szablami w dłoniach, każdy po jednej stronie drzwi.

- A czy nie myślisz, że może tam jest... no wiesz... ta straszna istota, jaką widzieliśmy?

- Sam Tasz? Nikt tego nie wie. Ale odwagi, moje dziecko. Wszyscy jesteśmy między łapami prawdziwego Aslana.

A potem zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Kot Imbir powiedział chłodnym, czystym głosem, nie zdradzającym najmniejszego podniecenia:

- Ja wejdę pierwszy, jeśli chcecie. Wszystkie stworzenia utkwiły w nim wzrok.

- Zważ na ich szatańską chytrość, panie - szepnął Pogin do króla. - Ten przeklęty kot jest z nimi w zмовie, a według mnie odgrywa główną rolę w spisku. Założę się, że cokolwiek tam w środku jest, jemu nie zrobi krzywdy. A potem kot wyjdzie z powrotem i powie, że widział jakieś niesamowite dziwy.

Ale Tirian nie miał czasu, aby mu odpowiedzieć. Szympons wezwał kota, by wystąpił.

- Ho-ho! A więc ty, zuchwały kocie, chcesz zobaczyć go twarzą w twarz? Chodź więc. Otworzę dla ciebie drzwi. Nie miej do mnie pretensji, jeśli ci wąsy wypadną ze strachu. To już twoja sprawa.

I kot wstał, opuścił swoje miejsce w tłumie, krocząc dostojnie i wdzięcznie, ze sterzącym wysoko ogonem i futerkiem wylizanym tak, że każdy włoszek był tam, gdzie być powinien. Przeszedł obok ogniska i znalazł się tak blisko Tiriana, że ten, przyciśnięty plecami do ściany Stajni, mógł mu spojrzeć prosto w twarz. Wielkie oczy kota nie mrugnęły ani razu. „Chłodny jak kiszony ogórek”, szepnął Eustachy. „Wie, że nie ma się czego bać”. Szympons, chichocząc i robiąc miny, podszedł powłóczytym krokiem do drzwi Stajni, podniósł rękę. Odsunął rygiel i otworzył drzwi. Tirianowi zdawało się, że słyszy, jak kot mruczy, wchodząc do ciemnego wnętrza.

- Aiiii-aaaa-ouuuuuuu!

Najokropniejszy miauk, jaki ktokolwiek słyszał w życiu, poderwał wszystkich na nogi, a niektórzy podskoczyli do góry w panice. Jeśli kiedyś w środku nocy obudziły was walczące lub zalecające się koty, znacie podobny dźwięk. Ale ten brzmiał

o wiele przeraźliwiej. Imbir wystrzelił nagle z otwartych drzwi Stajni, przewracając pod drodze szympansa. Gdyby się nie wiedziało, że to na pewno kot, można by pomyśleć, że z drzwi wystrzeliła ruda błyskawica. Przeleciał przez otwartą przestrzeń i wpadł w tłum. Nikt nie miał ochoty na bliższe spotkanie z kotem w takim stanie. Zwierzęta pierzchły we wszystkie strony. Imbir wdrapał się błyskawicznie na drzewo, śmignął po gałęziach i zawisł głową w dół na jednej z najwyższych. Ogon miał w tej chwili prawie tak gruby jak cały tułów, oczy przypominały spodeczki pełne zielonego ognia, a każdy włos na grzbiecie sterczał pionowo

- Oddałbym brodę - szepnęła Pogin - żeby wiedzieć, czy ten zwierzak tak świetnie gra, czy też naprawdę spotkał tam coś, czego się przeraził.

- Pssst! - syknął Tirian, bo teraz Riszda i szympanś szeptali coś między sobą i król chciał usłyszeć, o czym mówią. Udało mu się usłyszeć tylko zawodzenie małpy: „O moja głowa! O moja głowa!”, ale odniósł wrażenie, że ci dwaj są prawie tak samo zaskoczeni zachowaniem kota jak wszyscy pozostali.

- No, Imbirze - rzekł Riszda - dosyć już tego wrzasku. Powiedz im, co zobaczyłeś.

- Auiii-auuu-aoouuu-auuaaa! - zamiauczał przeraźliwie kot.

- Czy nie jesteś MÓWIĄCYM kotem? - zapytał Riszda. - Jeżeli jesteś, to skończ z tym diabelskim wyciem i mów.

To, co teraz nastąpiło, było okropne. Tirian nie wątpił (inni chyba też), że kot próbował coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywało się ani jedno słowo - nic prócz zwykłych, niezbyt przyjemnych miauków i wrzasków, jakie wydają rozwścieczone lub przerażone koty na podwórkach w Anglii. A im dłużej miauczał, tym mniej przypominał mówiące zwierzę. W tłumie rozległy się niespokojne skamlenia i krótkie, przenikliwe kwiki strachu.

- Patrzcie, patrzcie! - zawołał niedźwiedź. - Nie może mówić. Zapomniał, jak się mówi! Stał się niemym zwierzęciem. Popatrzcie na jego twarz!

Wszyscy to widzieli. Narnijczyków ogarnęła prawdziwa zgroza. Każdego z nich uczono - kiedy był pisklakiem, szczenięciem, źrebakiem czy kociakiem - jak to Aslan na początku świata zamienił zwierzęta narnijskie w mówiące zwierzęta i jak je ostrzegł, że jeśli nie będą dobre, pewnego dnia mogą z powrotem stać się tymi niemymi, otepiałymi stworzeniami, jakie można spotkać w innych krajach.

- Litości! Litości! - zawodziły zwierzęta. - Oszczędź nas, miłościwy panie Krętaczu, stań między nami a Aslanem. To ty musisz tam zawsze wchodzić i

przemawiać w naszym imieniu. My się nie ośmielimy. Nigdy!

Imbir zniknął w koronie drzewa. I już nikt więcej go nie zobaczył.

Tirian stał z pochyłą głową, z dłonią na rękojeści miecza, wstrząśnięty okropnościami tej nocy. Co jakiś czas nawiedzała go myśl, że najlepsze, co może teraz zrobić, to dobyć miecza i uderzyć na Kalormeńczyków, ale już za chwilę czuł, że lepiej jeszcze poczekać i zobaczyć, co nowego przyniesie rozwój wypadków. I rzeczywiście, znowu zaczęło się coś dziać.

- Mój ojcze! - rozległ się czysty, dźwięczny głos, gdzieś na lewo od tłumu zwierząt. Tirian nie miał wątpliwości, że słowa te wypowiedział jakiś Kalormeńczyk, bo w armii Tisroka zwykli żołnierze zwracają się do oficerów: „Mój panie”, lecz oficerowie mówią do starszych od siebie rangą: „Mój ojcze”. Julia i Eustachy o tym nie wiedzieli, ale rozejrzawszy się, dostrzegli owego mówiącego, bo stał nieco z boku, a tam łatwiej mogli coś zobaczyć niż w środku, przez ognisko. Był to wysoki, szczupły młodzieniec, nawet piękny, choć w kalormeńskim - posepnym i wyniosłym - stylu.

- Mój ojcze - zwrócił się do Riszdy Tarkaana

- ja także pragnę wejść do środka.

- Uciszyć się, Emet - odparł Riszda. - Kto ci udzielił głosu? Czy przystoi chłopcu przemawiać na naradzie bez pozwolenia?

- Mój ojcze - powtórzył Emet - to prawda, że jestem młodszy od ciebie, ale we mnie także płynie krew Tarkaanów i też jestem sługą Tasza. Dlatego...

- Milcz! - krzyknął Riszda. - Czy nie jestem twoim dowódcą? Nie masz nic wspólnego z tą sprawą. Stajnia jest dla Narnijczyków.

- Nie, mój ojcze - odpowiedział młodzieniec.

- Ty sam powiedziałeś, że ich Aslan i nasz Tasz to jedno. A jeśli tak, to w tej Stajni przebywa sam Tasz. Jak więc możesz mówić, że nie mam z tym nic wspólnego? Z najwyższą ochotą poniósłbym śmierć tysiąc razy, jeślibym mógł choć raz spojrzeć w twarz Tasza.

- Jesteś głupcem i niczego nie rozumiesz - rzekł Riszda z naciskiem. - To są wyższe sprawy.

Na twarzy Emeta pojawił się cień gniewu.

- A więc nie jest prawdą, że Tasz i Aslan to jedna osoba? - zapytał. - Czyżby małpa nas okłamała?

- Ależ oczywiście, są jedną osobą - odezwał się Krętacz.

- Przysięgnij, małpo! - powiedział Emet.

- Aj-aj-aj! - zaskrzeczał szympans. - Och, przestańcie mnie wszyscy dręczyć. Głowa mi pęka. Tak, tak, przysięgam!

- A więc, mój ojciec - rzekł Emet - nie mnie nie odwiedzie od wejścia do tej Stajni.

- Głupcze... - zaczął Riszda, ale karły przerwały mu, krzyżąc:

- Dalej, czarniawy! Dlaczego mu nie pozwalasz! Dlaczego zachęcasz do tego Narnijczyków, a swoich ludzi trzymasz z dala? Co tam macie, że twoi ludzie nie mogą tego zobaczyć?

Tirian i jego przyjaciele widzieli tylko plecy Tarkaana, więc nigdy się nie dowiedzieli, jaką miał minę, gdy wzruszył ramionami i powiedział:

- Biorę wszystkich na świadków, że nie jestem winny krwi tego młodego głupca. A więc wejdź, zuchwały młodzieńcze.

Teraz Emet, podobnie jak uprzednio Imbir, przeszedł przez pustą przestrzeń między ogniskiem a Stajnią. Oczy mu płonęły, twarz miał poważną i uroczystą, dłoń oparł na rękojeści szabli, a głowę uniósł wysoko. Julia czuła, jak jej się ściska serce, gdy patrzyła na jego twarz. Klejnot szepnął do króla:

- Na grzywę Lwa, chociaż to Kalormeńczyk, polubiłem go. Wart jest lepszego boga niż Tasz.

Emet otworzył drzwi i wszedł do ciemnej czeluści

Stajni, a potem zamknął je za sobą od wewnątrz. Minęło zaledwie kilka chwil - choć wydawało się to trwać dłużej - gdy drzwi ponownie się otworzyły. Na progu stała postać w kalormeńskiej zbroi, zatoczyła się i upadła na plecy. Drzwi zamknęły się. Riszda podbiegł i ukląkł przy nieruchomym ciele, spojrzął i wzdrygnął się, jakby zobaczył upiora. Potem wstał, odwrócił się do tłumu i zawołał:

- Ten zuchwały młodzian uczynił to, czego pragnął. Spojrzal w twarz Tasza i jest martwy. Czy wystarczy wam to ostrzeżenie?

- Tak! Tak! Wystarczy! Wystarczy! - rozległy się wystraszone okrzyki. Ale Tirian i jego przyjaciele spojrzeli najpierw na martwego Kalormeńczyka, a potem na siebie. Będąc bliżej dostrzegli bowiem wyraźnie to, czego tłum za ogniskiem nie widział: nie leżało tam wcale ciało Emeta, ale jakiegoś starszego, tęgiego i niskiego mężczyzny z długą brodą.

- Ho-ho-ho! - chichotał szympans. - Czy ktoś jeszcze? Czy ktoś ma ochotę wejść do środka? No cóż, skoro jesteście tacy nieśmiali, ja sam wybiorę ochotnika. Ty, ty, dziku! Chodź tutaj! Podnieście go, Kalormeńczycy. On też zobaczy Tasza twarzą w

twarz.

- Uuuuuu-nf! - chrząknął dzik, podnosząc się z ziemi. - A więc chodźcie. Popróbujcie moich kłów.

Kiedy Tirian zobaczył, że dzielne zwierzę gotowe jest walczyć o swoje życie i kalormeńscy żołnierze otaczają go z dobytymi szablami, a nikt się nie rusza, by mu przyjść z pomocą, poczuł, że coś w nim wybucha. Nie zastanawiał się już, czy jest to najlepszy moment do zdradzenia swej obecności, czy nie.

- Chwytajcie za miecze - szepnął do swych towarzyszy. - Strzała na cięciwę. Za mną.

W następnej chwili zdumieni Narnijczycy ujrzeli siedem postaci wychodzących przed Stajnię: cztery miały na sobie zbroję. Miecz króla błysnął w świetle ogniska, gdy zakręcił nim nad głową i zawołał:

- Tu stoję ja, Tirian, król Narnii, aby w imię Aslana udowodnić wam, że Taz jest plugawym diabłem, szympanś zaprzysiężonym zdrajcą, a ci Kalormeńczycy zasłużyli na śmierć. Do mnie, prawdziwi Narnijczycy! Czy chcecie czekać, aż wasi nowi panowie zabiją was, jednego po drugim?

## ROZDZIAŁ 11

### WSZYSTKO DZIEJE SIĘ CORAZ SZYBCIEJ

RISZDA TARKAAN BŁYSKAWICZNIE ODSKOCZYŁ Spoza zasięgu królewskiego miecza. Nie należał do tchórzki i gdyby zaszła potrzeba, sam stawilby czoło Tirianowi i karłowi, ale widok orła i jednorożca nieco ostudził jego waleczność. Wiedział dobrze, że orły atakują z powietrza, uderzając w twarz i wydziobując oczy, słyszał też od swojego ojca (który spotkał się już z Narnijczykami na polu bitwy), że żaden człowiek nie pokona jednorożca, chyba że strzałą z łuku lub długą lancą, ponieważ ten rzuca się na przeciwnika, stając na tylnych nogach i wówczas ma się do czynienia z jego rogiem, zębami i kopytami jednocześnie. Wolał więc ukryć się w tłumie, skąd krzyknął:

- Do mnie, do mnie, wojownicy Tisroka, oby żył wiecznie! Do mnie wierni Narnijczycy, bo spadnie na was przekleństwo Taszlana!

Tymczasem wydarzyły się jednocześnie dwie inne rzeczy. Szympana nie ocenił sytuacji tak szybko jak Tarkaan. Przez kilka sekund siedział nadal przy ognisku, gapiąc się na przybyszów. Tirian doskoczył do niego, schwycił za kark i zaniósł do Stajni, krzycząc: „Otwórzcie drzwi!” Pogin uczynił to.

- A teraz wypij piwo, którego nawarzyłeś, Krętaczu! - zawołał król i wrzucił szympansa do ciemnego wnętrza.

Kiedy karzeł zamykał za nim drzwi, buchnęło z nich nagle oślepiające, zielononiebieskie światło, ziemia zatrzęsała się i wszyscy usłyszeli mrozący krew w żyłach dźwięk, przywodzący na myśl ochryply krzyk jakiegoś potwornego ptaka. Zwierzęta zawyły ze strachu. Rozległy się krzyki: „Taszlan! Taszlan!” Wiele stworzeń upadło na ziemię, wiele zakryło twarze skrzydłami lub łapami. Jeden tylko orzeł Dalwid, który miał najlepsze oczy ze wszystkich żyjących w Narnii stworzeń, zobaczył w tym momencie twarz Riszdy Tarkaana. Kalormeński dowódca stał tak samo zaskoczony i przerażony, jak wszyscy. „Oto człowiek wzywający bogów, w których nie wierzy”, pomyślał Dalwid. „Co się z nim stanie, kiedy naprawdę przybędą!”

Trzecią rzecz, jaka wydarzyła się w tym samym czasie, można nazwać najpiękniejszą niespodzianką tej nocy. Wszystkie mówiące psy biorące udział w zgromadzeniu (było ich piętnaście) przybiegły w podskokach do króla, szczekając radośnie. Były to przeważnie olbrzymie psy z potężnymi barkami i szerokimi szczękami. Podbiegły jak fala morska, załamująca się na plaży i niemal zwalająca z nóg. Bo chociaż należały do mówiących psów, zachowywały się podobnie jak zwykle,

kochane psy: stawały na tylnych łapach, opierały przednie na piersiach ludzi i lizały ich po twarzach, mówiąc jednocześnie:

- Tak-tak-tak-tak! Cieszymy się, żeś nas, królu, wezwał-wał-wał-wał! Pomożemy! Tylko nam powiedz jak! Jak-jak-jak!

Było to tak cudowne, że chciało się płakać. Oto wreszcie spotkali się z tym, na czym budowali swe nadzieje. I kiedy w chwilę później przydreptało do nich kilkanaście małych zwierzątek (myszy, kretów i wiewiórek) piszczących z radości, powtarzających: „To my, to my! Jesteśmy z wami!”, i kiedy potem przytoczył się niedźwiedź, a za nim nadbiegł dzik, Eustachy poczuł, że jeszcze mają jakieś szansę. Lecz Tirian spojrział wokoło i zobaczył, jak niewielką część stanowiły te zwierzęta, które do nich przybiegły.

- Do mnie! Do mnie! - zawołał. - Czyżbyście wszyscy stali się tchórzami od czasu, gdy byłem waszym królem?

- Nie śmiemy - zaskomlały zwierzęta. - Taszlan by się gniewał. Obroń nas przed Taszlanem.

- Gdzie są wszystkie mówiące konie? - zwrócił się Tirian do dzika.

- Widziałyśmy, widziałyśmy - zapiszczały myszy. - Szympanś kazał im pracować. Wszystkie są przywiązane tam, u stóp Wzgórza.

- A więc, dzielni malcy, wy gryzichrusty, zębochwaty i rozłupywacze orzechów, pędźcie tam zaraz ile sił w nogach i dowiedzcie się, czy konie są po naszej stronie. A jeśli są, pokażcie, co wasze zęby potrafią, uwolnijcie szlachetne rumaki i przyprowadźcie je do mnie.

- Z najwyższą ochotą, panie! - odpowiedział chór cienkich głosów, po czym cały ten bystrooki i ostrozęby ludek zniknął ze Wzgórza, machając radośnie ogonkami. Tirian roześmiał się z samej miłości do nich, gdy to zobaczył. Ale teraz musiał myśleć o innych sprawach. Riszda Tarkaan już wydawał rozkazy.

- Naprzód! - zawołał. - Weźcie ich żywcem, jeśli to możliwe, i wrzucicie do Stajni. Kiedy już wszyscy będą w środku, podpalimy tę budę, składając ich w ofierze wielkiemu Taszowi.

- Ha! - rzekł Dalwid do siebie. - A więc to w ten sposób ma nadzieję przebłagać Tasza za swoje niedowiarstwo.

Blisko połowa sił wroga uformowała się w szyk bojowy i zaczęła nacierać. Tirian ledwo miał czas na wydanie rozkazów.

- Ustaw się tam, na lewo, Julio, i staraj się trafić, ilu zdołasz, zanim do nas

dojdą. Niedźwiedź i dzik obok niej. Pogin po moim lewym boku, Eustachy po prawym. Zamknij prawe skrzydło, Klejnocie. Stań przy nim, Łamigłówkę, i walcz kopytami. Ty, Dalwidzie, uderzaj z powietrza. Wy, psy, tuż za nami, w drugiej linii. Kiedy miecze się skrzyżują, ruszajcie między nich. Aslan z nami!

Eustachemu serce biło jak młotem. Powtarzał sobie w duchu: „Będę dzielny!” Po raz pierwszy w życiu widział coś tak mrożącego krew w żyłach (choć widział już smoka i węża morskiego), jak ów zbliżający się szybko szereg ciemnoskórych i jasnookich mężczyzn. Wśród nacierających był również mówiący byk z Narnii, lis Skradek i satyr Hałaburda. Eustachy usłyszał brzdęk cięciwy, świst - i jeden z Kalormeńczyków upadł, potem drugi brzdęk i świst - i upadł satyr.

- Dobra robota, córko! - rozległ się głos Tiriana. Lecz wróg był już przy nich.

Nigdy później Eustachy nie potrafił sobie przypomnieć, co właściwie działo się w ciągu następnych dwóch minut. Przypominało to sen (z rodzaju tych, jakie się ma w gorączce). Potem usłyszał z oddali głos Riszdy Tarkaana:

- Do odwrotu! Wycofać się i przegrupować!

Dopiero wówczas odzyskał w pełni świadomość i ujrzał, jak Kalormeńczycy pędzą ku swoim. Ale nie wszyscy. Dwóch leżało na trawie: jeden ugodzony strzałą z łuku Julii, drugi mieczem Tiriana. Tuż przy swoich stopach zobaczył martwego lisa - czy to możliwe, aby to on go zabił? Opodal leżał byk ze strzałą Julii w oku i z bokiem rozdartym kłębem dzika. Straty były jednak po obu stronach. Zginęły trzy psy, czwarty kuśtykał na trzech nogach poza linią walki. Poległ też niedźwiedź; przez chwilę poruszał jeszcze łapami, wymamrotał „Ja... ja... nie rozumiem”, a potem położył łeb na trawie jak układające się do snu dziecko i znieruchomiał.

Pierwszy atak zakończył się klęską wroga. Eustachy nie był w stanie cieszyć się z tego: bolała go ręka i zaschło mu w gardle.

Kiedy Kalormeńczycy wrócili do swego dowódcy, karły zaczęły z nich szydzić:

- No co, czarniawi, macie już dosyć? Nie spodobało się? A czemu to wasz wielki Tasz sam nie walczy, tylko was wysyła na śmierć? Biedni czarniawcy!

- Karły! - zawołał Tirian. - Chodźcie do nas i użyjcie swoich mieczy, a nie języków. Jeszcze nie jest za późno. Narnijskie karły! Wiem, że potraficie walczyć. Pokażcie, że znowu jesteście wiernymi poddanymi!

- Tere-ferre-kuku! - rozległy się szydercze okrzyki. - Ani nam w głowie. Jesteś takim samym oszustem jak tamci. Nie chcemy żadnych królów. Karły należą do karłów! Buuuuuuuuu!



Nagle wszyscy usłyszeli dźwięk bębna. Tym razem nie był to bęben karłów, lecz wielki kalormeński kocioł z byczej skóry. Dzieci zniechęciły ten dźwięk od pierwszego uderzenia. Bum-bum-ba-ba-bum! Ale nienawidziłby go jeszcze bardziej, gdyby wiedziały, co oznacza. Tirian wiedział. Gdzieś w pobliżu czekało więcej kalormeńskich oddziałów i Riszda Tarkaan wzywał je na pomoc. Tirian i Klejnot popatrzyli na siebie ponuro. Jeszcze przed chwilą mieli nadzieję, że tej nocy uda im się zwyciężyć; teraz wiedzieli już, że jeśli przybędą posiłki, wkrótce wszystko się skończy.

Tirian rozejrzał się z rozpaczą dookoła. Spora grupa Narnijczyków skupiła się przy Tarkaanie - albo z lęku przed „Taszlanem”, albo świadomie wybierając zdradę. Pozostali wciąż siedzieli na swoich miejscach, przyglądając się walce i nie opowiadając po żadnej stronie. Tłum wyraźnie się jednak przerzedził. Najwidoczniej co śmielsi wymknęli się ukradkiem podczas pierwszej utarczki i czmychnęli w las.

Bum-bum-ba-ba-bum - dudnił posępny bęben. A potem zaczął się z nim mieszać jakiś inny dźwięk.

- Słuchajcie! - powiedział Klejnot.

- Patrzcie! - powiedział Dal wid.

W chwilę później nikt już nie miał wątpliwości. Z grzotem kopyt, ze sterczącymi uszami, rozdętymi chrapami i rozwianymi grzywami wbiegło na Wzgórze ponad dwadzieścia mówiących koni. Gryzichrusty i zębochwaty wykonały swoje zadanie.

Karzeł Pogin i dzieci już otworzyli usta, by wydać okrzyk radości, lecz głos zamarł im w gardle. Powietrze wypełniło krótkie stękanie cięciw i świst strzał. To strzelały karły. Przez chwilę Julia nie mogła w to uwierzyć, ale, niestety, była to prawda. Strzelały do koni. Łuk w ręku karła jest bronią morderczą. Koń za koniem toczył się po murawie. Ani jedno ze szlachetnych zwierząt nie dobiegło do króla.

- Podle ŚWINIE! - wrzeszczał Eustachy, podskakując z wściekłości. - Brudne, plugawe, zdradzieckie bydlaki!

- Panie, pozwól mi - rzekł Klejnot - a runę na nich i przebiję z dziesięciu za jednym razem.

Ale Tirian odpowiedział z śmiertelnie poważną twarzą:

- Wytrzymaj to, przyjacielu. - A zwracając się do Julii, dodał: - Jeśli musisz płakać, kochanie, odwróć twarz, aby łzy nie zmoczyły cięciwy. - A do Eustachego: - Spokojnie, chłopcze. I nie przeklinaj jak kucharka. Rycerze nie przeklinają. Ich

jedynym językiem są tylko uprzejme słowa lub miażdżące ciosy.

Ale karły zaczęły szydzić z Eustachego:

- Nie spodziewałeś się tego, chłopczyku, co? Myślałeś, że jesteśmy po waszej stronie? Nie chcemy żadnych mówiących koni. Nie chcemy, żebyście zwyciężyli, nie chcemy, by zwyciężyła jakakolwiek inna banda. Nie będziecie NAS mieli. Karły należą do karłów.

Riszda Tarkaan wciąż mówił coś do swoich ludzi, zapewne wydając polecenia co do następnego ataku. Prawdopodobnie żałował, że do pierwszego wysłał tylko połowę swoich sił. Bęben wciąż dudnił. I nagle, ku swej zgrozie, Tirian i jego przyjaciele usłyszeli słaby, daleki odgłos innego bębna. Jakiś inny oddział Kalormeńczyków usłyszał sygnały Riszdy i nadciągał z pomocą. Nikt by nie poznał po twarzy Tiriana, że w tej chwili opuściła go wszelka nadzieja.

- Posłuchajcie - rzekł bezbarwnym głosem - musimy zaatakować, zanim te lotry otrzymają posiłki.

- Zastanów się, panie - powiedział Pogin. - Tu mamy za plecami grubą ścianę Stajni. - Jeśli się ruszymy, otoczą nas i ugodzą szablami z tyłu.

- I ja bym tak powiedział, Poginie - odparł król. - Ale czy nie na tym polega ich plan, aby nas wrzucić do Stajni? Im dalej od tych diabelskich drzwi, tym lepiej.

- Król ma rację - wtrącił Dalwid. - Za wszelką cenę jak najdalej od przeklętej Stajni i tego, kto siedzi w środku.

- Tak, tak właśnie zrobimy - zgodził się Eustachy. - Nienawidzę samego jej widoku.

- Dobrze - rzekł Tirian. - A teraz spójrzcie tam, na lewo, na tę wielką skałę, która w świetle ogniska lśni biało jak marmur. Najpierw uderzymy na tych Kalormeńczyków. Ty, panienko, zajmiesz pozycję dalej, na lewym skrzydle, strzelając w ich linię tak szybko, jak potrafisz; ty orle, atakuj z powietrza od prawej strony. My uderzymy środkiem. Julio, kiedy dojdziemy do nich tak blisko, że będziesz się bała strzelać, aby nas nie porazić, wracaj do tej białej skały i czekaj na nas. Wy wszyscy miejcie uszy otwarte nawet w walce. Musimy zmusić ich do odwrotu w pierwszych minutach, to nasza jedyna szansa, bo jest nas mniej. Kiedy zawołam: „Do tyłu!”, biegnijcie do Julii przy białej skale. Tam znajdziemy osłonę z tyłu i chwilę na oddech. No, ruszaj, Julio.

Czując się okropnie samotnie, Julia odbiegła jakieś sześć metrów, cofnęła prawą nogę, lewą wystawiła do przodu, nałożyła strzałę na cięciwę i zaczęła się

modlić, aby ręce przestały jej drżeć. „Co za parszywy strzał!”, jęknęła do siebie, gdy pierwsza strzała przeleciała nad głowami wrogów. Ale już nałożyła następną, wiedziała, że najbardziej liczy się szybkość. Zobaczyła, jak coś wielkiego i czarnego spada na twarze Kalormeńczyków. Najpierw jeden, potem drugi rzucił szablę i zakrył twarz rękami, by ochronić oczy. Jedna z jej strzał trafiła kalormeńskiego żołnierza, druga narnijskiego wilka. Ale dłużej nie mogła już strzelać. Z błyskiem mieczy, kłów dzika i rogu Klej nota, z ochrypłym ujadaniem psów Tirian i jego mały oddział pędził na wroga z szybkością biegaczy na sto metrów. Julię zaskoczyło to, że Kalormeńczycy wydają się nie przygotowani na atak. Nie zdawała sobie sprawy, że to skutek jej strzał i działań orła. Trudno stać niewzruszenie i oczekiwać na nacierającego wroga, gdy jest się rażonym strzałami z jednej strony i atakowanym przez orła z drugiej.

- Och, dobra robota! DOBRA robota! - zawołała. Oddział króla stał się już z wrogiem. Jednorożec podrzucał ludzi w powietrze jak snopki na stóg. W oczach Julii (która w końcu nie najlepiej знаła się na walce mieczem) nawet Eustachy walczył wspaniale. Psy chwytaly Kalormeńczyków za gardła. A więc chyba się uda! A więc to zwycięstwo...

Nagle przeszył ją od stóp do głowy lodowaty dreszcz. Zobaczyła, że chociaż Kalormeńczycy padali gęsto, ich liczba wcale się nie zmniejszała; przeciwnie, było ich teraz o wiele więcej niż na początku starcia. Ich zastępy rosły z każdą sekundą. Nadbiegali ze wszystkich stron. To nowi wojownicy! W rękach mieli długie włócznie. Zjawilo się ich teraz tylu, że w tłumie z trudem dostrzegała sylwetki swoich przyjaciół. A potem usłyszała głos Tiriana:

- Do tyłu! Do skały!

Bęben zrobił swoje. Wzgórze zalały wojska Tisroka.

## ROZDZIAŁ 12

### PRZEZ DRZWI STAJNI

OBSERWOWANIE WALKI tak Julię pochłonęło, że dopiero teraz przypomniała sobie o drugiej części swojego zadania. Powinna już być przy skale! Odwróciła się i popędziła ku niej ile sił w nogach. Dotarła do celu zaledwie o sekundę przed innymi. Natychmiast odwrócili się twarzami do wroga i wówczas zobaczyli straszny widok.

Kalormeński wojownik biegł do Stajni, trzymając coś, co kopało i wyrywało się. Kiedy znalazł się między nimi a ogniskiem, zobaczyli wyraźnie postać wojownika i jego zdobycz: to Eustachy!

Tirian i jednorożec bez namysłu rzucili się, aby go uwolnić. Ale Kalormeńczyk był o wiele bliżej drzwi Stajni niż oni. Zanim przebiegli połowę drogi, wrzucił Eustachego do środka i szybko zamknął drzwi. Nadbiegło pół tuzina innych i utworzyli zwartą linię, odcinając dostęp do drzwi.

Nawet w tej chwili Julia pamiętała, by odwrócić twarz na bok. „Nie mogę przestać beczeć, ale nie zmoczę cięciwy”, powiedziała do siebie przez łzy.

- Gotuj strzałę! - usłyszała głos Pogina.

Każdy pochylił głowę i nasunął mocniej hełm. Psy skuliły się u ich stóp. Rozległ się świst strzał, ale już po chwili spostrzegli z ulgą, że to nie oni są ich celem. Gryfel i jego karły znowu wzięły się do łuków, tym razem szyjąc celnie w Kalormeńczyków.

- Śmiało, chłopcy! - rozległ się głos Gryfla. - Wszyscy razem! Dobrze mierzyć. Nie chcemy czarniawych tak samo, jak nie chcemy małąp, lwów czy królów. Karły należą do karłów.

Cokolwiek można powiedzieć o karłach, to jednak nie można im odmówić męstwa. Mogły się z łatwością oddalić w jakieś bezpieczne miejsce, wołały jednak zostać i wystrzelać tyłu wrogów po obu stronach, ilu im się uda, obserwując jednocześnie z zadowoleniem, jak obie strony oszczędzały im nieco wysiłku, mordując się nawzajem. Karły chciały mieć Narnię tylko dla siebie.

Nie wzięły jednak pod uwagę dość ważnej okoliczności. Dla dobrych łuczników konie były łatwym celem, natomiast Kalormeńczycy mieli na sobie kolczugi. Mieli też dowódcę. Gdy tylko zaświstały strzały, rozległ się głos Riszdy Tarkaana:

- Trzydziestu! Otoczyć tych głupców pod skałą i pilnować, żeby nie uciekli! Reszta za mną! Zaraz damy nauczkę tym Synom Ziemi!

Tirian i jego przyjaciele, wciąż zadyszani po walce i wdzięczni za kilka minut

odpoczynku, patrzyli, jak Tarkaan prowadzi swych ludzi przeciw karłom. Była to niesamowita scena. Ognisko nieco przygasło, jego blask stał się teraz słabszy i czerwony. Na szczycie wzgórza widzieli tylko karły i Kalormeńczyków, choć w tym oświetleniu z trudem dostrzegali, co się dzieje.

Sądząc po odgłosach, karły walczyły dzielnie. Tirian słyszał przekleństwa Gryfla i co jakiś czas głos Tarkaana:

- Wziąć żywcem tylu, ilu zdołacie! Wziąć ich żywcem!

Trudno powiedzieć coś o samej walce, ale nie trwała długo. Jej odgłosy cichły. Potem Julia ujrzała Tarkaana zbliżającego się do Stajni; za nim postępowało jedenastu wojowników, a każdy niósł jednego związanego karła. (Nigdy już nie dowiedziano się, czy reszta zginęła w walce, czy też niektórym udało się zbiec.)

- Wrzucić ich do świątyni Tasza! - rozkazał Riszda.

A kiedy jedenastu karłów zostało wrzuconych lub wepchniętych do ciemnego otworu i drzwi ponownie zamknięto, skłonił się nisko przed Stajnią i powiedział:

- Tych także składamy ci w ofierze, wielki Taszu! I wszyscy Kalormeńczycy zaczęli uderzać płazami

szabel w tarcze i wołać:

- Tasz! Tasz! Wielki bóg Tasz! Nieubłagany Tasz! Już nie potrzebowali wspominać o takiej bzdurze jak „Taszlan”.

Zebrany przy skale mały oddział Tiriana przypatrywał się temu wszystkiemu, naradzając się szeptem. Znaleźli strużkę wody spływającą po skale i wszyscy napili się łapczywie: Julia, Pogin i król czerpiąc ją rękami, a czworonogi wprost z maleńkiej sadzawki, jaka utworzyła się u stóp skały. Odczuwali takie pragnienie, że woda wydała im się najwspanialszym napojem, jakiego skosztowali w całym życiu, a kiedy pili, byli naprawdę szczęśliwi i nie myśleli o niczym.

- Czuję w kościach - rzekł Pogin - że zanim nastanie świt, wrzucą nas jedno po drugim w tę ciemność za drzwiami. Myślę sobie o stu różnych rodzajach śmierci i wolałbym każdą z nich od tej.

- Zaprawdę, to posępne drzwi - rzekł Tirian. - Przypominają paszczę gotową do pożarcia.

- Och, czy NIC nie można już zrobić? - zapytała Julia drżącym głosem.

- Nic, szlachetna przyjaciółko - odparł Klejnot, trącając ją delikatnie nosem. - Ale nie trać otuchy. Dla nas mogą to być drzwi do krainy Aslana. Jeszcze tej nocy możemy wieczerzać u jego stołu.

Riszda Tarkaan odwrócił się od Stajni i powoli podszedł do białej skały.

- Wysłuchajcie mnie - powiedział. - Jeśli dzik, psy i jednorożec wyjdą i zdadzą się na moją łaskę, daruję im życie. Dzik pójdzie do klatki w ogrodach Tisroka, psy do jego psiarni, a jednorożec, po odcięciu mu rogu, będzie ciągnął wózek. Ale orzeł, dzieci i ten, który był królem, zostaną tej nocy złożeni w ofierze Taszowi.

Odpowiedział mu jedynie głuchy pomruk zwierząt.

- A więc naprzód, żołnierze! - zawołał Tarkaan. - Zabić zwierzęta i wziąć żywcem ludzi.

I tak zaczęła się ostatnia bitwa króla Narnii.

Niezależnie od przeważającej liczby wrogów, walkę naprawdę beznadziejną czyniły długie włócznie w rękach Kalormeńczyków. Ci, którzy towarzyszyli szympansowi, nie mieli ich, bo przeniknęli do Narnii pojedynczo lub po dwóch w przebraniu kupców, a oczywiście włócznie nie mogliby ukryć. Ale główne siły przekroczyły granicę później, kiedy Krętacz utwierdził swoją władzę i nie musieli się już ukrywać. Włócznie przesądzały sprawę. Dostatecznie szybki i wyćwiczony żołnierz uzbrojony we włócznię może zabić dziką, zanim znajdzie się w zasięgu jego kłów, i jednorożca, zanim dosięgnie go jego róg. A teraz pochylone ostrza włócznie zbliżały się powoli ze wszystkich stron do Tiriana i jego ostatnich przyjaciół. Po chwili wszyscy walczyli o życie.

Choć zapewne z trudem mi uwierzycie, nie było to aż tak straszne. Kiedy wykorzystuje się do granic wytrzymałości każdy miesiąc - to uskakując przed ostrzem włócznie, to znowu uchylając się przed nim, posuwając się o krok lub dwa do przodu, a następnie cofając się, obracając, przeginając i podskakując - nie ma czasu ani na strach, ani na rozpacz. Tirian wiedział, że nie może już nic zrobić dla innych: ich wspólny los był przesądzony. Widział, jak po jednej stronie pada dzik, a po drugiej walczy jeszcze zażarcie Klejnot. Kątem oka dostrzegł, że jakiś wielki Kalormeńczyk ciągnie gdzieś Julię za włosy. Król myślał już tylko o tym, by jak najdrożej sprzedać swoje życie. Najgorsze, że nie mógł dłużej utrzymać wybranej przez siebie pozycji, która pozwalała mu mieć tuż za plecami ścianę skały. Kiedy się walczy z tuzinem wrogów naraz, trzeba wykorzystywać każdą szansę i uderzać w każdą odsłoniętą przez moment pierś czy szyję. Wystarczy kilka takich ciosów, aby znaleźć się o dobre kilka kroków od miejsca, w którym się walkę zaczęło. Tirian wkrótce spostrzegł, że oddala się coraz bardziej od skały, a zbliża do Stajni. Miał niejasne poczucie, że powinien trzymać się od niej jak najdalej, ale teraz nie pamiętał już nawet dlaczego. A zresztą

nie mógł na to nic poradzić.

Naraz wszystko stało się jasne. Spostrzegł, że walczy z samym Tarkaanem. Za plecami kalormeńskiego wodza dopalało się ognisko. Tirian walczył już w samych drzwiach Stajni. Były otwarte, a dwóch żołnierzy czaiło się po bokach, gotowych do zatrzęsnięcia drzwi, gdy tylko król znajdzie się w środku. Teraz przypomniał sobie wszystko i zrozumiał, że wróg celowo, od samego początku walki, spychał go w kierunku Stajni. Myślał o tym, wciąż stawiając zawzięty opór Tarkaanowi.

Nagle przyszedł mu do głowy rozpaczliwy pomysł. Rzucił miecz, skoczył do przodu tuż pod szablą Tarkaana, która świsnęła mu nad głową, złapał przeciwnika obiema rękami i szarpnął ku sobie, wskakując jednocześnie do Stajni i krzycząc:

- Chodź ze mną i sam spotkaj swojego Tasza!

Rozległ się ogłuszający huk, ziemia zadrżała i rozbłysło oślepiające światło. Kalormeńscy żołnierze wrzasnęli: „Tasz! Tasz!” i zatrzęsnęli drzwi. Jeśli Tasz zapragnął mieć swojego kapitana, musiał go dostać. Oni, w każdym razie, nie pragnęli spotkania z Taszem.

Przez chwilę Tirian nie wiedział, gdzie się znajduje, a nawet kim jest. Potem otrząsnął się, zmrużył powieki i rozejrzał wokół siebie. W Stajni nie było ciemno, jak się spodziewał, lecz przeraźliwie jasno i właśnie dlatego musiał zmrużyć oczy.

Odwrócił głowę i spojrział na Riszdę Tarkaana, ale ten nie patrzył na niego. Riszda jęknął głucho, wskazał na coś, zasłonił twarz rękami i upadł w dół, na ziemię. Tirian spojrział tam, gdzie Tarkaan wskazywał. A wówczas zrozumiał.

Zbliżała się ku nim straszliwa postać: ten sam potwór z ptasią głową i czterema rękami, którego widzieli niedaleko wieży, i choć teraz był o wiele mniejszy, i tak znacznie przewyższał człowieka. Dziób miał otwarty, oczy płonęły mu piekielnym blaskiem. Rozległ się ochrypły głos:

- To ty wezwałeś mnie do Narnii, Riszdo Tarkaanie? Oto jestem. Co masz mi do powiedzenia?

Ale Tarkaan nie uniósł głowy i nie wyrzekł ani jednego słowa. Trząsł się jak człowiek, który ma okropną czkawkę. Potrafił mężnie walczyć, ale już wcześniej tej nocy opuściła go połowa odwagi, gdy po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że prawdziwy Tasz rzeczywiście istnieje. Resztę odwagi stracił przed chwilą.

Nagłym ruchem - jak kogut opuszczający błyskawicznie dziób, aby podnieść robaka - Tasz schwycił nieszczęsnego Riszdę jedną ze swoich górnych kończyn i uniósł w powietrze. Odwrócił głowę i utkwiał w nim spojrzenie jednego ze swoich straszliwych

oczu, bo oczywiście, mając ptasią głowę, nie mógł przyglądać się czemuś na wprost.

Lecz oto nagle gdzieś zza niego rozległ się głos, potężny i spokojny jak letnie morze:

- Precz stąd, potworze! Zabierz swą prawowitą zdobycz i wracaj tam, skąd przybyłeś, w imię Aslana i jego wielkiego Ojca, Władcy-zza-Morza!

Ohydny stwór zniknął nagle razem z Tarkaanem. Tirian odwrócił się, by zobaczyć, kto przemówił. A to, co ujrzał, sprawiło, że serce zabiło mu tak, jak jeszcze nigdy w najcięższej walce.

Przed nim stało siedem postaci: królowie i królowe w koronach i w połyskujących szatach. Królowie mieli na sobie wspaniałe zbroje, a w dłoniach trzymali nagie miecze. Tirian skłonił się z szacunkiem i już chciał przemówić, gdy najmłodsza z królowych roześmiała się głośno. Spojrzał na jej twarz i z ust wyrwał mu się okrzyk zdumienia, bo ją poznał. To Julia! Ale nie ta Julia, jaką widział po raz ostatni jeszcze parę minut temu, z brudną i zapłakaną twarzą, w starej, drelichowej sukience zsuwającej się z jednego ramienia. Teraz wyglądała tak świeżo, jakby przed chwilą wyszła z kąpieli. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie starszej, ale już za chwilę Tirian pomyślał, że to tylko strój tak ją zmienił. Nie był tego pewien. A potem w najmłodszym królu rozpoznał Eustachego, lecz i on zmienił się tak jak Julia.

Tirian poczuł, że nie śmie podejść do tych ludzi, pokryty krwią, kurzem i potem, lecz w następnej chwili spostrzegł, że także się zmienił. Stał odświeżony, czysty i ubrany w strój, jakiego nie powstydziliby się podczas wielkiego święta na Ker-Paravelu. (W Narnii nawet najlepsze, „wizytowe” stroje nie są jednak tak strasznie niewygodne jak w naszym świecie. Tam wiedzą, jak szyć ubrania nie tylko piękne, ale i wygodne, i w ogóle nie używają takich rzeczy, jak krochmal, gruba flanela czy gumki.)

- Panie - powiedziała Julia, robiąc kilka kroków do przodu i składając pełen wdzięku ukłon - pozwól, że cię przedstawię Piotrowi, Wielkiemu Królowi nad wszystkimi królami Narnii.

Tirian nie musiał pytać, kto z nich jest Wielkim Królem, bo dobrze zapamięta! jego twarz (choć teraz była jeszcze bardziej szlachetna) ze swego snu. Zbliżył się, uklęknął na jedno kolano i ucałował rękę Piotra.

- Najjaśniejszy panie - rzekł - witam cię z całego serca.

A Wielki Król podniósł go i ucałował w oba policzki, tak jak to powinien uczynić Wielki Król. Potem poprowadził go do najstarszej z królowych - lale nawet ona nie była wcale stara: nie miała siwych włosów i ani jednej zmarszczki - i



powiedział:

- Królu Tirianie, oto pani Pola, która przybyła I do Narnii w Pierwszym Dniu, kiedy to Aslan sprawił, I że drzewa zaczęły rosnać, a zwierzęta mówić.

Potem poprowadził go do męża o twarzy pełnej mądrości, ze złotą, opadającą na pierś brodą.

- A to lord Digory, który był z nią w tym samym Dniu. A to jest mój brat, król Edmund, i siostra, królowa Łucja.

- Panie - powiedział Tirian, gdy przywitał się ze wszystkimi - jeśli dobrze znam nasze kroniki, to kogoś tutaj brakuje. Czyż wasza królewska mość nie ma dwóch sióstr? Gdzie jest królowa Zuzanna?

- Moja siostra Zuzanna - odparł Piotr z powagą - nie należy już do przyjaciół Narnii.

- Tak - dodał Eustachy. - A kiedy próbuje się porozmawiać z nią o Narnii, mówi: „Jaką macie wspaniałą pamięć! Ale to niemożliwe, żebyście wciąż myśleli o tych wszystkich śmiesznych rzeczach, w które się bawiliśmy, gdy byliśmy dziećmi”.

- Och, ta Zuzanna - westchnęła Julia. - Teraz interesują ją tylko nylonowe pończochy, szminki i zaproszenia na przyjęcia. Zawsze strasznie chciała być dorosła.

- Dorosła, w tym rzecz - rzekła Łucja. - Chciałabym, żeby wreszcie DOROSŁA. Zmarnowała lata szkolne, myśląc tylko o tym, żeby wreszcie być dorosła, a teraz zmarnuje resztę życia, starając się zatrzymać czas. To jej recepta na życie: przebiec ten najgłupszy dystans jak najszybciej, a potem zatrzymać się na tak długo, jak można.

- No dobrze, ale nie mówmy teraz o tym - powiedział Piotr. - Spójrzcie! Jakie wspaniale drzewa! Spróbujmy tych owoców.

I wówczas Tirian po raz pierwszy rozejrzał się dookoła i stwierdził, że przygoda, w jakiej przyszło mu brać udział, jest jeszcze dziwniejsza, niż mu się dotąd wydawało.

## ROZDZIAŁ 13

### JAK KARŁY NIE DAŁY SIĘ OSZUKAĆ

DO TEJ CHWILI TIRIAN MYŚLAŁ - albo myślałby, gdyby miał na to czas - że znajdują się wewnątrz małej, pokrytej strzechą Stajni, długiej na jakieś trzy metry i szerokiej na półtora metra. W rzeczywistości stali na trawie, nad głowami mieli błękitne niebo, a twarze chłodził im lekki wiatr, jaki bywa wczesnym latem. Niedaleko rosła duża kępa drzew gęsto pokrytych liśćmi, a spod każdego liścia wyglądały złote, pomarańczowe, purpurowe lub jaskrawoczerwone owoce, jakich nikt nigdy nie widział w naszym świecie. Patrząc na nie, Tirian pomyślał, że to chyba jesień, ale w powietrzu było coś, co mówiło mu, że to najpóźniej czerwiec. Podeszli do drzew.

Każdy podniósł rękę, by zerwać owoc, jaki mu się najbardziej podobał, a potem każdy pomyślał: „Nie, to nie dla mnie... na pewno nie wolno ich zrywać...”

- Nie lękajmy się, przyjaciele - rzekł Piotr. - Wiem, o czym każde z nas myśli, ale jestem całkowicie pewien, że niepotrzebnie się wahamy. Czuję, że jesteśmy w kraju, w którym dozwolone jest wszystko.

- No to do dzieła! - zawołał Eustachy. I wszyscy zaczęli jeść.

Jak smakowały te owoce? Niestety, nikt nie potrafi opisać smaku. Można tylko porównywać. O tych owocach można powiedzieć tylko tyle, że w porównaniu z nimi najświeższe grejpfruty są bez smaku, najsoczystsze pomarańcze suche, najbardziej rozpywające się gruszki twarde i drewniane, najśłodsze poziomki kwaśne. I nie miały twardych ziarenek ani pestek, a wokoło nie latały osy. Kiedy się zjadło taki owoc, najlepsze na świecie przysmaki smakowałyby później jak lekarstwo. Ale nie potrafię tego opisać. Jeśli chcecie się naprawdę dowiedzieć, jaki miały smak, musicie dostać się do tego kraju i sami spróbować.

Kiedy już się najedli, Eustachy rzekł do króla Piotra:

- Nie powiedziałaś nam jeszcze, jak się tu dostałaś. Miałaś to właśnie zrobić, gdy pojawił się Tirian.

- Nie ma tu wiele do opowiadania - odparł Piotr. - Edmund i ja staliśmy na peronie i zobaczyliśmy, jak nadjeżdża twój pociąg. Pamiętam, pomyślałem sobie, że bardzo szybko bierze zakręt przed stacją. Pamiętam też, jak pomyślałem: to zabawne, nasi jadą prawdopodobnie tym samym pociągiem, a Łucja o tym nie wie...

- Wasi, najjaśniejszy panie? - zapytał Tirian.

- Mam na myśli ojca i matkę, to znaczy rodziców moich, Edmunda i Łucji.

- Skąd oni się tam wzięli? - zdziwiła się Julia. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że

ONI wiedzą o Narnii?

- Och nie, to nie miało nic wspólnego z Narnią. Jechali do Bristolu. Po prostu usłyszałem, że wyjeżdżają tego ranka, a Edmund powiedział, że wobec tego muszą jechać tym pociągiem. - (Edmund należał do ludzi, którzy wszystko wiedzą o pociągach.)

- I co później się stało? - zapytała Julia.

- Cóż, nie tak łatwo to opisać, prawda, Edziu? - powiedział Wielki Król.

- No, nie bardzo - zgodził się Edmund. - To w ogóle nie przypominało tego, no wiecie, jak zostaliśmy przeniesieni do Narnii poprzednim razem, za pomocą magii. Usłyszałem okropny huk i coś jakby mnie z trzaskiem walnęło, ale nie czułem żadnego bólu. Nawet się nie przestraszyłem, tylko poczułem... no... jakieś takie podniecenie. I... pamiętam jeszcze coś dziwnego. Miałem boleśnie stłuczone kolano, wiecie, ktoś mnie kopnął podczas gry w rugby. I wtedy poczułem, że to nagle minęło. Poczułem się bardzo lekko. No i... byliśmy już tutaj.

- Z nami, w pociągu, było bardzo podobnie - rzekł lord Digory, wycierając kilka kropel owocowego soku ze swojej złotej brody. - Wydaje mi się tylko, że my, to znaczy ja i Pola, poczuliśmy się przede wszystkim o wiele bardziej rześcy i rozluźnieni. Wy, młodzi, nie potraficie tego zrozumieć. Po prostu przestaliśmy czuć się staro.

- Młodzi, też mi coś! - prychnęła Julia. - Nie wierzę, że jesteście o wiele starsi od nas.

- No, jeżeli nie jesteśmy, to w każdym razie BYLIŚMY - powiedziała pani Pola.

- A co się wydarzyło od momentu, gdy się tu znaleźliście? - zapytał Eustachy.

- Przez dłuższy czas - odparł Piotr - nic się nie działo, tak mi się przynajmniej wydawało. Potem drzwi się otworzyły...

- Drzwi? - przerwał mu Tirian.

- No tak, drzwi, przez które tu wpadłeś... albo wypadłeś, jak wolisz. Już zapomniałeś?

- Ale gdzie one są?

- Spójrz - rzekł Piotr i wskazał ręką. Tirian spojrział i zobaczył najbardziej dziwaczną i śmieszoną rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Kilka metrów od nich stały sobie w pełnym słońcu zwykłe, dość prymitywne drzwi z desek, a naokoło nich drewniane odrzwia - i nic więcej: żadnych ścian, żadnego sufitu. Podeszedł do nich, zdumiony, a za nim pozostali, ciekawi, co chce zrobić. Obszedł drzwi dookoła. Z tamtej strony wyglądały tak samo jak z tej: zwykłe drewniane drzwi stojące sobie na

łącze w letni poranek. Można powiedzieć, że wyrastały z ziemi jak drzewo.

- Dostojny panie - rzekł Tirian do Wielkiego Króla - to naprawdę dziw nad dziwy.

- To są drzwi, przez które kilka minut temu wpadłeś tu wraz z tym Kalormeńczykiem - powiedział Piotr z uśmiechem.

- Ale przecież ja wpadłem z lasu do Stajni! A te drzwi prowadzą znikąd donikąd.

- One tak wyglądają, kiedy się je OBCHODZI naokoło - rzekł Piotr. - Przyłóż jednak oko do tej szczeliny między dwiema deskami i popatrz PRZEZ NIE.

Tirian przybliżył twarz do Drzwi i spojrzał przez szparę. W pierwszej chwili zobaczył tylko ciemność.

Potem, kiedy się trochę przyzwyczaił, ujrzał czerwony blask dogasającego ogniska, a wyżej gwiazdy na tle czarnego nieba. Po chwili dostrzegł też zarysy postaci poruszających się tu i tam lub stojących między Drzwiami a ogniskiem. Usłyszał głosy: najwyraźniej głosy Kalormeńczyków. Zrozumiał, że spogląda ze Stajni w ciemność Latarnianego Pustkowie, tam, gdzie stoczył swą ostatnią bitwę. Kalormeńczycy dyskutowali, czy wejść do środka i zobaczyć, co się stało z Riszdą Tarkaanem (tyle że żaden nie miał na to ochoty), czy też od razu podpalić Stajnię.

Rozejrzał się ponownie wokół siebie i ledwo uwierzył oczom. Nad głową jaśniało błękitne niebo, a zielony kraj rozciągał się w każdą stronę tak daleko, jak sięgał wzrok. Przy nim stali, śmiejąc się, jego nowi przyjaciele.

- Wygląda na to - rzekł Tirian i sam zaczął się śmiać - że Stajnia widziana z zewnątrz i Stajnia widziana od wewnątrz to dwa różne miejsca.

- Tak - przyznał lord Digory. - Jej wnętrze jest większe niż to, co jest na zewnątrz.

- Tak - dodała królowa Łucja. - W naszym świecie też była kiedyś taka stajenka, w której znajdowało się coś większego niż cały świat. - Przemówiła po raz pierwszy, a po drzeniu jej głosu Tirian poznał, dlaczego. Łucja przeżywała wszystko o wiele silniej niż inni. Była po prostu zbyt szczęśliwa, by mówić. Chciał jeszcze raz usłyszeć jej głos, więc powiedział:

- Uczyń mi łaskę, pani, i opowiadaj dalej. Opowiedz mi całą waszą przygodę.

- Po tym wstrząsie i huku - powiedziała Łucja - znaleźliśmy się tutaj. Dziwiliśmy się tym Drzwiom tak jak ty. Wtem otworzyły się po raz pierwszy - zobaczyliśmy przez nie ciemność - i wszedł wielki mężczyzna z szablą w dłoni. Po

rynsztunku poznaliśmy, że to Kalormeńczyk. Stał przy drzwiach i wznosił szablę, opierając ją na ramieniu, gotów ściąć każdego, kto wejdzie. Podeszliśmy do niego i próbowaliśmy się z nim porozumieć, ale ani nas nie widział,

ani nie słyszał. Nie rozglądał się też wokoło; przypuszczam, że w ogóle nie widział nieba, słońca i trawy. A potem czekaliśmy dość długo, aż usłyszeliśmy, jak ktoś odsuwa rygiel z tamtej strony. Ten człowiek nie podniósł jednak wyżej miecza. Wywnioskowaliśmy z tego, że ma rozkaz uderzyć w jednych, a innych przepuszczać. Ale gdy tylko Drzwi się otworzyły, pojawił się nagle z tej strony Tasz, nikt nie zauważył skąd. A przez Drzwi wszedł wielki rudy kot. Zobaczył Tasza, wrzasnął i czmychnął z powrotem w ostatniej chwili, bo potwór już chciał go dziobnąć; nawet uderzył dziobem w zamykane Drzwi. Teraz ten żołnierz też ujrzał Tasza i padł przed nim na twarz. Ale Tasz zniknął. Potem znowu czekaliśmy przez długi czas. W końcu Drzwi otworzyły się po raz trzeci i wszedł młody Kalormeńczyk. Podobał mi się. Wartownik przy Drzwiach spojrzął i wyglądał na bardzo zaskoczonego, jakby się spodziewał kogoś innego...

- Teraz już wszystko rozumiem - wtrącił Eustachy (zawsze miał brzydki zwyczaj przerywania komuś opowieści). - Ten żołnierz wiedział, że kot wejdzie pierwszy, i miał nie wyrządzić mu krzywdy. Potem kot by wyszedł i powiedział, że zobaczył straszliwego Tasza. Miał UDAWAĆ przestraszonego, żeby przerazić wszystkie pozostałe zwierzęta. Ale Krętaczowi nigdy nie wpadło do głowy, że może zjawić się prawdziwy Tasz i że Imbir wyleci naprawdę przestraszony. A potem Krętacz miał wysłać do środka tego, kogo zechce, i ten drab miał go zabić, i...

- Przyjacielu - rzekł Tirian miękko - przeszkodziłeś tej szlachetnej damie w opowieści.

- No więc - powiedziała Łucja - wartownik był bardzo zaskoczony. To pozwoliło temu młodzieńcowi przygotować się do walki. Zabił wartownika i wypchnął ciało przez Drzwi na zewnątrz. Potem powoli podszedł, zobaczył nas, zobaczył to wszystko. Próbowaliśmy z nim rozmawiać, lecz zachowywał się jak w transie. Wciąż powtarzał: „Tasz, Tasz, gdzie jest Tasz? Idę do Tasza”. Daliśmy mu spokój, a on poszedł gdzieś... o, tam. Podobał mi się. A potem... och! - Łucja skrzywiła się.

- Potem - odezwał się szybko Edmund - ktoś wrzucił przez Drzwi małpę. I znowu pojawił się Tasz. Moja siostra ma tak czułe serce, że nie chce mówić, co stało się później. Tasz dziobnął tylko raz i już było po małpie.

- Dostała to, na co zasłużyła - wtrącił Eustachy. - Ale obawiam się, że Taszowi

nie wyjdzie to na zdrowie.

- A potem - ciągnął Edmund - weszło z tuzin karłów, potem Eustachy, Julia, a na samym końcu ty, panie.

- Mam nadzieję, że Tasz połknął również te karły - rzekł Eustachy. - Nędzne prosiaki!

- Nie, nie uczynił tego - powiedziała Łucja. - I nie bądź okropny. One wciąż tutaj są. Nawet stąd można je zobaczyć. Próbowałam się z nimi zaprzyjaźnić, ale bez skutku.

- ZAPRZYJAŹNIĆ się z NIMI! - zawołał Eustachy. - Gdybyś wiedziała, jak się zachowały...

- Och, przestań, Eustachy - powiedziała Łucja. - Chodź ze mną i popatrz na nie. Tirianie, może ty coś z nimi zrobisz?

- Nie potrafię dziś wzbudzić w sobie miłości do karłów - odparł Tirian. - Ale na twoją prośbę, pani, dokonałbym o wiele trudniejszych czynów.

Łucja poprowadziła ich i wkrótce wszyscy je zobaczyli. Był to bardzo dziwny widok. Karły nie spacerowały sobie po okolicy, nie zajadały się owocami, nie leżały w trawie, odpoczywając po trudach tej nocy. Siedziały w ciasnym kręgu nie patrząc wokoło i milcząc. Dopiero wówczas, gdy Łucja i Tirian stali już tak blisko, że mogli ich dotknąć, podniosły głowy i zaczęły nimi obracać, jakby niczego nie widziały, tylko coś słyszały i próbowały poznać po dźwięku, o co chodzi.

- Uważajcie! - odezwał się jeden z nich rozdrażnionym głosem. - Uważajcie, gdzie idziecie. Za chwilę wejdziecie nam na głowy.

- Dobra, dobra - odburknął Eustachy. - Nie jesteśmy ślepi. Mamy oczy.

- Muszą to być piekielnie dobre oczy, jeśli nimi coś tutaj widzisz - rzekł ten sam karzeł (miał na imię Digiel).

- Tutaj, to znaczy gdzie! - zapytał Edmund.

- Jak to gdzie, tępa głowo, TUTAJ - odparł Digiel. - W tej nędznej, ciemnej i śmierdzącej dziurze, jaką jest ta przeklęta Stajnia.

- Czy jesteście ślepi? - zapytał Tirian.

- A czy wszyscy nie jesteśmy ślepi w tych ciemnościach?

- Ależ tu wcale nie jest ciemno, biedne, głupie karły! - powiedziała Łucja. - Nie widzicie? Spójrzcie wokoło! Spójrzcie w górę! Nie widzicie nieba, drzew, kwiatów? Mnie nie widzicie?

- Jak, do wszystkich bzdur na świecie, mam zobaczyć coś, czego tu nie ma? A

ciebie nie widzę ani trochę lepiej niż ty mnie w tych grobowych ciemnościach.

- Ale JA ciebie WIDZĘ - odparła Julia. - Mogę ci to udowodnić. Masz fajkę w zębach.

- To może powiedzieć każdy, kto zna zapach tytoniu.

- Och, biedactwa! To okropne - powiedziała Łucja. Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł. Schyliła się i zerwała kilka fiołków.

- Posłuchajcie, karły - powiedziała - jeśli nawet coś jest nie w porządku z waszymi oczami, to może macie normalne nosy. Czujecie TO? - i podsunęła Digłowi świeże, wilgotne kwiaty pod nos. Ale natychmiast musiała odskoczyć, by uchylić się przed uderzeniem jego małej, twardej pięści.

- Tylko bez takich sztuczek! - zawołał. - Jak śmiesz przytykać mi do twarzy kupę jakichś plugawych śmieci z podłogi Stajni? I był w nich oset. Co za bezczelność! A w ogóle, kim wy jesteście?

- Synowie Ziemi - odezwał się Tirian - to jest królowa Łucja, przysłana tu przez Aslana z głębin czasów. Tylko ze względu na nią ja, Tirian, wasz prawowity król, nie uciałem wam jeszcze głów, bowiem dwukrotnie zdradziliście Narnię i jej koronę.

- Tego już za wiele! - rozżłościł się na dobre Digiel. - Jak MOŻESZ powtarzać wciąż te wszystkie bzdury! Twój cudowny Lew jakoś nie przybył, żeby ci pomóc, co? Myślę, że nie. I nawet teraz, kiedy zostałeś pobity i zamknięty w tej ciemnej dziurze, wciąż bawisz się w stare gierki. Znowu zaczynasz kłamać. Znowu próbujesz nam wmówić, że nie jesteśmy zamknięci w Stajni, że nie jest ciemno i Bóg wie co jeszcze.

- Ta ciemna dziura istnieje tylko w waszej wyobraźni, głupcy! - krzyknął Tirian.  
- Wyłaźcie z niej! - Pochylił się, złapał Digła za pas i kaptur, i wyciągnął z kręgu karłów. Ale gdy tylko postawił go na ziemi, Digiel wskoczył z powrotem na swoje miejsce, rozcierając nos i zawodząc:

- Auu! Auu! Dlaczego to zrobiłeś? Uderzyłem twarzą o ścianę! O mało co nie zламаłem mi nosa!

- Och, kochani - powiedziała Łucja - co możemy dla nich zrobić?

- Zostawić ich w spokoju - odparł Eustachy. Ale gdy tylko to powiedział, ziemia zadrżała. Powietrze wypełniła słodka woń. Jakaś jasność zapłonęła poza nimi. Wszyscy odwrócili się. Tirian uczynił to ostatni, bo przeniknął go lęk. I oto ujrzał przed sobą nadzieję swego serca, olbrzymiego i prawdziwego złotego Lwa, samego Aslana. Inni klęczeli już w półkolu wokół jego przednich łap, zanurzając ręce i twarze w złotej grzywie, a on pochylił się, aby dotknąć każdego językiem. A potem utkwiał

spojrzenie w Tirianie, a ten podszedł bliżej, drżąc, i upadł do stóp Lwa. Lew pocałował go i rzekł:

- Dzielnie się spisałeś, ostatni królu Narnii, stojąc nieugięte w jej najciemniejszej godzinie.

- Aslanie - powiedziała Łucja przez łzy - czy nie mógłbyś... czy zrobisz coś z tymi biednymi karłami?

- Kochanie - odparł Aslan - pokażę ci, co mogę, a czego nie mogę zrobić.

Zbliżył się do karłów i wydał z siebie cichy pomruk - cichy, lecz ziemia od niego zadrżała.

- Słyszeliście? - powiedział Digel. - To ta banda na drugim końcu Stajni. Chcą nas przestraszyć. Robią to za pomocą jakiejś maszyny. Nie zwracajmy na to uwagi. Nas nikt już nie nabierze!

Aslan podniósł głowę i wstrząsnął grzywą. I nagle na kolanach karłów pojawiły się najwspanialsze potrawy: pasztety, ozorki, gołąbki, biszkopty z kremem, lody, a każdy karzeł trzymał w ręku puchar dobrego wina. Ale i to nie poskutkowało. Zaczęły jeść i pić, lecz najwyraźniej nie czuły smaku tych wyszukanych potraw. Były przekonane, że jedzą i piją tylko to, co można znaleźć w każdej stajni. Jeden powiedział, że próbuje jeść siano, drugi, że znalazł kawałek starej rzepy, inny, że zmusza się do jedzenia zgniłej kapusty. Kiedy podniosły do ust złote puchary pełne czerwonego wina, zaczęły się krzywić, a jeden powiedział: „Tfu! To okropne pić brudną wodę z koryta, które służyło przedtem osłu! Nigdy nie myślałem, że upadniemy tak nisko”. Bardzo szybko każdy karzeł zaczął podejrzewać, że inni znaleźli coś lepszego niż on. Wyrwali sobie jedzenie z rąk, kłócili się i przeklinali szpetnie, aż wynikła z tego prawdziwa bijatyka i wszystkie przysmaki rozmazali sobie po twarzach albo wdeptali w ziemię. A kiedy w końcu usiedli, by zająć się swoimi podbitymi oczami i krwawiącymi nosami, rozległy się głosy:

- No, ale w każdym razie nie ma w tym żadnego matactwa. Nie pozwolimy, żeby nas ktoś oszukiwał. Karły należą do karłów.

- Sami widzicie - rzekł Aslan. - Nie pozwalają sobie pomóc. Wybrali przebiegłość zamiast wiary. Choć więzienie istnieje tylko w ich wyobraźni, to naprawdę są w nim zamknięci. Tak bardzo boją się, aby ich w coś nie WCIĄGNIĘTO, że nie można ich z tego WYCIĄGNAĆ. Ale chodźcie, dzieci. Mam co innego do zrobienia. Zbliżył się do Drzwi, a za nim podeszli wszyscy. Podniósł głowę i zaryczał:

- Już czas! - a potem głośniejsze: - Czas! - a potem tak głośno, że chyba gwiazdy



zadrżały na swoich drogach: - CZAAAAS!

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

## ROZDZIAŁ 14

### NOC SPADA NA NARNIĘ

WSZYSCY STANĘLI OBOK ASLANA, po jego prawym boku, i spojrzeli przez otwarte Drzwi.

Ognisko wygasło. Wzgórze pogrążyło się w ciemnościach, gdyby nie czarne zarysy wierzchołków drzew na tle rozgwieżdżonego nieba, trudno byłoby uwierzyć, że patrzy się na las. Ale kiedy Aslan zaryczał po raz drugi, na lewo zamajaczył jeszcze jeden czarny kształt. Najpierw przypominał wielką, ciemną plamę na niebie, później ta plama rosła i rosła w górę, aż przybrała kształt olbrzyma stojącego na tle usianego gwiazdami nieba: największego ze wszystkich olbrzymów, jacy kiedykolwiek żyli w tym świecie. Wszyscy wystarczająco dobrze znali Narnię, by domyślić się, gdzie on musi stać: na torfowej wyżynie, daleko na północy, za Suchą Wodą. Julia i Eustachy przypomnieli sobie, jak pewnego razu, bardzo dawno temu, w głębokich podziemiach pod tymi torfowiskami zobaczyli wielkiego, śpiącego olbrzyma. Powiedziano im, że nazywa się Ojciec Czas i że obudzi się w dniu końca świata.

- Tak - powiedział Aslan, chociaż żadne z nich nie przemówiło. - Kiedy leżał uśpiony, nazywał się Czas. Teraz, gdy się przebudził, otrzyma nowe imię.

Wielki olbrzym poruszył się. Po zmianie czarnego zarysu na tle gwiazd poznali, że podniósł do ust róg. A potem - a upłynęło chyba dobrych kilka sekund, bo dźwięk rozchodzi się tak wolno - usłyszeli ryk rogu: przenikliwy i straszny, a jednak pełen dziwnego, śmiertelnego piękna.

Nagle niebo rozjarzyło się spadającymi gwiazdami. Cudownie jest zobaczyć choć jedną spadającą gwiazdę, a tu spadały ich tuziny, potem setki, a potem tysiące, aż w końcu niebo przesłoniła świetlista ulewa. Deszcz gwiazd padał i padał, a kiedy już oczy przyzwyczyły się do tych kaskad niebiańskiego blasku, zaczęli dostrzegać jeszcze jeden ciemny kształt na ich tle. Znajdował się w innym miejscu niż olbrzym, wysoko, nad ich głowami, na samym - jak można by powiedzieć - suficie nieba. „Może to obłok”, pomyślał Edmund. W każdym razie w tym miejscu nie widzieli gwiazd, tylko ciemność, a dookoła spadał wciąż deszcz żywego srebra. A potem ta bezgwiezdna plama zaczęła rosnąć, rozprzestrzeniając się ze środka nieba coraz dalej i dalej. Czerń pokrywała już ćwierć nieba, potem połowę, aż w końcu kaskada gwiazd opadała już tylko nad samym horyzontem.

Wszystkich przeszył dreszcz zdumienia (a także i trochę zgrozy), gdy zrozumieli, co się dzieje. Rozrastająca się plama czerni nie była chmurą: była po

prostu pustką. W czarnej części nieba nie pozostała już ani jedna gwiazda. Wszystkie spadły: Aslan wezwał je z niebieskich przestworzy na ziemię.

Ostatnich kilka sekund gwiazdnego deszczu wprawiło wszystkich w jeszcze większe oszołomienie. Teraz gwiazdy spadały wokół nich. W świecie, o którym wam opowiadam, gwiazdy nie są wielkimi ognistymi kulami, jak w naszym. Są żywymi istotami (Edmund i Łucja spotkali kiedyś jedną z nich). Tak więc znaleźli się teraz wśród ciżby roziskrzonych istot - z długimi włosami jak płonące srebro i z włóczniami jak rozgrzany do białości metal - pędzących ku nim wprost z czarnego nieba szybciej niż spadają kamienie. Opadały z sykiem na ziemię, wypalając w tym miejscu trawę, a potem prześlizgiwały się przed nimi i zatrzymywały gdzieś z tyłu, z prawej strony.

Okazało się to bardzo korzystne, bo w przeciwnym razie, gdy niebo zostało ogołocone z gwiazd, na ziemi zapanowałaby całkowita ciemność i nic nie byłoby widać. Teraz tłum gwiazd rzucał ponad ich ramionami strumienie ostrego, białego światła. Widzieli milę za milą narnijskich puszczy i łąk, zalanych potopem blasku. Każde drzewo, każdy krzak, każde źdźbło trawy rzucało za siebie czarny cień. Krawędzie każdego liścia rysowały się tak ostro, że wydawało się, iż można sobie nimi skaleczyć palce.

Przed nimi, na trawie, leżały ich własne cienie. Lecz największe wrażenie sprawiał cień Aslana wybiegający daleko, w lewą stronę, groźny i majestatyczny. A wszystko to działo się pod niebem, na którym nie było już gwiazd.

Silny blask bijący spoza nich (nieco z prawej strony) oświetlał nawet zbocza gór zamykających Dzikie Kraje Północy. Dostrzegli tam jakiś ruch. Wielkie zwierzęta spelzały z gór ku Narnii: olbrzymie smoki, gigantyczne jaszczury, wielkie nieopierzone ptaki ze skrzydłami nietoperza. Teraz znikły w puszczy i przez parę minut panowała cisza. A potem nadpłynęły - najpierw z bardzo daleka - odgłosy tęsknego zawodzenia, a po chwili ze wszystkich stron rozległ się szum, tupot i tętent. Te dźwięki zbliżały się jak wielka fala zmierzająca ku wybrzeżu z samego serca oceanu. Wkrótce dał się odróżnić tupot małych stóp od głuchego kroku wielkich łap i stukot małych kopytek od grzmotu wielkich kopyt. A potem wszyscy ujrzeli tysiące par rozjarzonych oczu. I w końcu wystrzeliły z cienia drzew, pędząc w górę zbocza jak w biegu o życie, tysiące, miliony stworzeń wszystkich rodzajów: mówiące zwierzęta, karły, satyry, fauny, olbrzymy, Kalormeńczycy, mieszkańcy Archenlandii, jednonogi i nieziemskie stworzenia z dalekich wysp lub nieznanymi krajów Zachodu. I wszyscy biegli ku otwartym Drzwiom na szczycie Wzgórza, gdzie stał Aslan.

Tylko ta część ich przygody sprawiała wrażenie snu i trudno było dokładnie ją zapamiętać. Nikt później nie potrafił powiedzieć, jak długo trwała: czasem wydawało się, że tylko parę minut, a innym razem, że całe lata. Gdy później zastanawiali się nad tym wszystkim stało się oczywiste, że albo Drzwi niesłychanie urosły, albo wszystkie stworzenia zrobiły się małe jak komary, bo w przeciwnym razie taki tłum nie mógłby nawet próbować przez nie się przedostać. Ale wtedy nikt nie myślał o takich rzeczach.

Stworzenia nadbiegały, a ich oczy lśniły coraz jaśniej i jaśniej, gdy zbliżały się do stojących opodal gwiazd. A kiedy podbiegły do Aslana, coś się w nich zmieniło, a ściślej mówiąc, w każdym zaszła jedna z dwu zmian.

Wszystkie spojrzały mu prosto w twarz; nie sądzę, by mogły tego nie zrobić. Lecz u jednych wyraz twarzy zmienił się nagle okropnie: pojawiły się nienawiść i przerażenie. Trwało to ułamek sekundy i nagle przestały być MÓWIĄCYMI zwierzętami - stały się ZWYKŁYMI zwierzętami. I wszystkie stworzenia, które spojrzały na Aslana w ten sposób, zboczyły w prawo - czyli na lewo od niego - i znikły w jego wielkim, czarnym cieniu, który (jak już mówiłem) rozciągał się na lewo od Drzwi. Dzieci nigdy już ich nie zobaczyły. Sam nie wiem, co się z nimi stało. Natomiast inne stworzenia spojrzały w twarz Aslana z miłością, choć niektóre z lękiem. I te wszystkie przeszły przez Drzwi, gromadząc się w tłumie po jego prawicy. Były wśród nich bardzo dziwne gatunki. Eustachy rozpoznał nawet jednego z tych karłów, które strzelały do koni. Nie miał jednak czasu na dziwienie się temu (zresztą nie była to jego sprawa), bo wielka radość przesłoniła mu wszystko inne. Wśród rozradowanych stworzeń tłoczących się teraz wokół Tiriana i jego przyjaciół, znalazły się wszystkie, które uważali za zmarłe: centaur Runwid i jednorożec Klejnot, dobry niedźwiedź i dobry dzik, kochane psy i konie, orzeł Dalwid i karzeł Pogin.

- W dal i wwyż! - zawołał Runwid i grzmiąc kopytami, pocwałował na zachód. I chociaż nie pojęli sensu tych słów, przeniknął ich słodki dreszcz. Dzik zachrzękał do nich radośnie. Niedźwiedź zamierzał właśnie mruknąć, że wciąż niczego nie rozumie, gdy zobaczył owocowe drzewa. Potoczył się ku nim tak szybko, jak potrafił, i bez wątpienia znalazł tam wreszcie coś, co rozumiał bardzo dobrze. Ale psy pozostały przy nich, merdając ogonami, został też Pogin z roześmianą uczciwą twarzą, ściskając wszystkim dłonie. Klejnot skłonił swą śnieżnobiałą głowę ku twarzy króla, a król szepnął mu coś do ucha. A potem wszyscy zwrócili baczną uwagę na to, co widzieli przez Drzwi.

Teraz Narnia należała do smoków i jaszczurów. Krążyły tu i tam, wyrwijając

drzewa z korzeniami, podrzucając je do góry i chrupiąc jak łydgi rabarbaru. W kilka minut puszcze znikły. Cała kraina została obnażona i mogli zobaczyć wiele rzeczy, jakich przedtem nie zauważyli: małe wzniesienia, garby, zapadliny i jamy. Trawa zwiędła. Wkrótce Tirian patrzył na świat nagiej ziemi i skał. Trudno było uwierzyć, że coś tu kiedyś żyło. Potwory też szybko się zestarzały, legły na ziemi i pozdychały. Ich ciała wyschły i odpadły, aż pokazały się kości; wkrótce na martwych skałach leżały tylko tu i tam szkielety, wyglądające tak, jakby spoczywały tu od tysiący lat. Na długi czas wszystko zamarło.

W końcu coś białego - długa, pozioma linia bieli lśniąca w świetle stojących gwiazd - pojawiło się na wschodnim krańcu świata i zaczęło się ku nim przybliżać. Ciszę przerwał rozległy, toczący się dźwięk: najpierw pomruk, później bezładny tumult, jeszcze później ryk. Teraz zobaczyli, co się ku nim zbliża i z jaką pędzi szybkością: to spieniona ściana wody. Morze powstało ze swego legowiska. Patrząc przez Drzwi na ten nagi świat, widziało się, jak rzeki występują z brzegów, jeziora rozlewają się, łącząc się ze sobą, doliny przemieniają się w zatoki, wzgórza w wyspy. A potem

wyspy zginęły pod wodą. Na lewo stroma wyżyna, na prawo jeszcze wyższe góry popękały, skruszyły się i osunęły z hukiem w spiętrzoną wodę, a woda podbiegła, kłębiąc się i wirując, aż do samego progu Drzwi, tak że piana opadła na stopy Aslana. I od tego progu aż do samego widnokręgu wszystko pokrył teraz jeden płaski ocean.

Tam, gdzie wody łączyły się z niebem, pojawiła się jasność. Smuga posępnej zorzy rozlała się wzdłuż widnokręgu, poszerzając się szybko i rozjaśniając, aż przyćmiła światło stojących za nimi gwiazd. Wzeszło słońce. A kiedy wzeszło, lord Digory i pani Pola spojrzeli na siebie i pokiwali głowami: kiedyś, w innym świecie, widzieli już umierające słońce i nie mieli wątpliwości, że to również jest bliskie śmierci. Trzykrotnie - nie, dwudziestokrotnie większe niż być powinno, przybrało barwę ciemnej czerwieni. Gdy jego promienie padły na olbrzyma noszącego kiedyś imię Czas, zrobił się też czerwony, a cały bezmiar wód wyglądał teraz jak ocean krwi.

A potem w zupełnie nienormalnym miejscu, tuż koło słońca, pojawił się czerwony księżyc. Na jego widok słońce zaczęło miotać ku niemu wielkie jęzory purpurowego ognia, jak ośmiornica pragnąca zagarnąć zdobycz w swoje macki. Być może księżyc przyciągał słońce, w każdym razie zbliżyło się ku niemu, najpierw powoli, potem coraz prędzej i prędzej, aż w końcu długie promienie otoczyły mniejszą kulę i obie stały się jedną wielką bryłą, rozżarzoną jak płonący żużel. W morze spadły

strumienie płynnego ognia, wzbijając obłoki pary. Wówczas Aslan powiedział:

- Teraz uczyń koniec.

Olbrzym cisnął swój róg do morza. Wyciągnął poprzez niebo rękę - czarną i długą na tysiące mil - aż dosięgnął słońca. Pochwycił je i ścisnął jak pomarańczę. I nagle zrobiło się zupełnie ciemno.

Wszyscy, prócz Aslana, odskoczyli do tyłu przed lodowatym podmuchem, który wtargnął przez Drzwi. Odrzwia pokryły się soplami.

- Piotrze, Wielki Królu Narnii - rzekł Aslan - zamknij Drzwi!

Dygocąc z zimna, Piotr wychylił się w ciemność i pociągnął Drzwi ku sobie. Lód zachrzącał i Drzwi się zatrzęsły. Potem, z pewnym trudem, bo ręce mu zgrabiały i zsiniały, wyjął złoty klucz i zamknął je.

Przez te Drzwi zobaczyli dziwne rzeczy. Ale najdziwniejsze widzieli teraz wokół siebie: znajdowali się w ciepłym świetle dnia, z błękitnym niebem nad głowami, z kwiatami u stóp i śmiechem w oczach Aslana.

Lew okręcił się błyskawicznie w miejscu, przycałował, uderzył ogonem po bokach i wystrzelił w powietrze jak złota strzała.

- Dalej w głąb! Dalej wzwyż! - zaryczał w skoku, odwracając do nich głowę. Ale kto mógłby dotrzymać mu kroku? Ruszyli za nim na zachód.

- A więc - powiedział Piotr - wieczna noc spadła na Narnię. Cóż to, Łusiu? Chyba nie PŁACZESZ? Z Aslanem przed nami, z tym wszystkim wokół nas?

- Nie wymawiaj mi tego, Piotrze - odpowiedziała Łucja. - Jestem pewna, że Aslan by tego nie zrobił. Jestem pewna, że nie ma nic złego w opłakiwaniu Narnii. Pomyśl o tym wszystkim, co leży martwe i zamrożone za tymi Drzwiami.

- Tak, ja też MIAŁAM wielką nadzieję, że to będzie trwało wiecznie - odezwała się Julia. - Wiem, że nasz świat kiedyś się skończy. Ale nie myślałam, że nastanie kiedyś koniec Narnii.

- Widziałem jej narodziny - rzekł lord Digory. - Nie sądziłem, że będę jeszcze żył, gdy nadejdzie jej koniec.

- Przyjaciele - powiedział Tirian - nie ma nic złego w tym, że te szlachetne panie płaczą. Spójrzcie, ja też ronię łzy. Ujrzałem śmierć mojej matki. Nigdy nie znałem innego świata prócz Narnii. Nie opłakiwać jej? Nie byłoby to cnotą, lecz brakiem czułości.

Odeszli od Drzwi i od karłów, które wciąż siedziały ponuro w nie istniejącej już Stajni. A kiedy szli, rozmawiali o dawnych wojnach i o czasach pokoju, o starożytnych

królach i wszystkich minionych świetnościach Narnii.

Psy wciąż im towarzyszyły. Od czasu do czasu brały udział w rozmowie, ale przede wszystkim hasały po łąkach, wrywając się w szalonym pędzie do przodu, powracając, obwąchując trawę i kwiaty, kichając i znowu pędząc wokół. Nagle zwęszyły jakiś trop, który wprowadził je w wielkie podniecenie i wywołał ożywioną dyskusję.

- Tak, to jest to. - Nie, to nie to. - To jest właśnie to, o czym mówiłem. - Czy ktoś wyczuwa, co to naprawdę jest? - 'Zabierz stąd swój wielki nochal i pozwól powąchać innym.

- Cóż tam macie, krewniacy? - zapytał Piotr.

- To jakiś Kalormeńczyk, panie - odpowiedziało natychmiast kilka głosów.

- Prowadźcie więc nas do niego - rzekł Piotr. - Powitamy go z radością, jeśli wyciągnie ku nam rękę, ale spotkamy się z nim równie ochoczo, jeśli będzie czekał na nas z nagą szablą.

Psy pognały za tropem i za chwilę, ujadając głośno, powróciły w takim pędzie, jakby od tego biegu zależało ich życie. Oznajmiły, że rzeczywiście znalazły Kalormeńczyka. (Mówiące psy, podobnie jak zwykle, zachowują się tak, jakby to, co robią w danej chwili, było niezwykle ważne.)

Psy zaprowadziły ich do rosnącego nad przejrzystym strumieniem kasztana. Siedział tam Emet, młody Kalormeńczyk, który tak bardzo pragnął zobaczyć swojego boga. Na ich widok powstał i skłonił się z powagą.

- Wasza wielmożność - rzekł do Piotra - nie wiem, czy przybywasz jako przyjaciel, czy jako wróg, lecz poczytam sobie za wielki honor i jedno, i drugie. Czyż bowiem jeden z poetów nie powiedział, że szlachetny przyjaciel jest darem najwspanialszym, a darem następnym co do wspaniałości jest szlachetny wróg?

- Panie rycerzu - odrzekł Piotr - nie znajduję żadnej przyczyny, dla której miałby nas dzielić wyciągnięte miecze.

- Powiedz nam, kim jesteś i co się z tobą działo? - zapytała Julia.

- Jeżeli ma to być dłuższa opowieść, to napijmy się i usiądźmy - zaszczeakały psy. - Jesteśmy bardzo zdyszane.

- No i trudno się temu dziwić - zauważył Eustachy - skoro wciąż latacie tam i z powrotem z wywieszonymi językami.

Tak więc ludzie posiadali na trawie, a kiedy psy hałaśliwie zaspokoili pragnienie, uczyniły to samo, wspierając się na przednich łapach i przechylając łby na

bok, aby lepiej słyszeć. Tylko Klejnot stał, polerując sobie róg o swój biały jedwabisty bok.



## ROZDZIAŁ 15

### DALEJ WZWYŻ I DALEJ W GŁĄB

Wiedziecie, o waleczni królowie - zaczął Emet - i wy, szlachetne panie, których piękność rozjaśnia wszechświat, że jestem Emet, siódmy syn Harfy Tarkaana z miasta Tehiszbaan, leżącego na zachód od Wielkiej Pustyni. W ostatnich dniach przybyłem do Narnii wraz z dwudziestoma dziewięcioma towarzyszami pod wodzą Riszdy Tarkaana. Kiedy dowiedziałem się, że czeka nas wyprawa do Narnii, moje serce wypełniła radość, wiele bowiem słyszałem o waszym kraju i pragnąłem spotkać się z wami na polu bitwy. Lecz kiedy odkryłem, że mamy tu przyjść w przebraniu kupców - co jest niegodne rycerza i syna Tarkaana - i działać posługując się kłamstwem i podstępem, radość opuściła moje serce. A kiedy powiedziano nam, że musimy czekać na zdradę małpy, a później, że Tasz i Aslan to jedna osoba, wówczas świat pociemniał w moich oczach. Albowiem służyłem Taszowi wiernie od czasu, gdy byłem małym chłopcem, i zawsze marzyłem o tym, aby poznać go lepiej, a jeśli to będzie możliwe, aby spojrzeć w jego oblicze. A imienia Aslana nienawidziłem z całego serca.

I oto, jak sami widzieliście, wzywano nas wszystkich noc po nocy przed pokrytą słomą szopę i rozpalono wielkie ognisko, a małpa wyprowadzała z szopy jakieś czworonożne stworzenie, którego nigdy nie widziałem dokładnie, a ludzie i zwierzęta oddawali mu pokłony. Ja jednak myślałem: Oto Tarkaan daje się oszukiwać małpie, bo przecież to wyprowadzane ze Stajni zwierzę nie jest ani Taszem, ani żadnym innym bóstwem. Ale kiedy przypatrywałem się uważnie twarzy Tarkaana i słuchałem bacznie tego, co mówił do małpy, zmieniłem zdanie, ponieważ stało się dla mnie jasne, iż Tarkaan sam nie wierzy w to wszystko. I wtedy zrozumiałem, że on w ogóle nie wierzy w Tasza, bo gdyby wierzył, to czyż ośmielałby się z niego szydzić?

Kiedy to pojąłem, wielki gniew wypełnił moje serce i dziwiłem się, dlaczego prawdziwy Tasz nie spali małpy i Tarkaana ogniem z nieba. Ukryłem jednak mój gniew i nakazałem swemu językowi, by milczał, czekając, jak to się wszystko skończy. Ale ostatniej nocy, jak niektórzy z was wiedzą, małpa nie wyprowadziła ze Stajni żółtego stworzenia, lecz powiedziała, że wszyscy, którzy chcą spojrzeć w oblicze Taszlana - tak pomieszali te dwa imiona, udając, że to jedna osoba - muszą wejść pojedynczo do szopy. I powiedziałem sobie: zaprawdę, to jeszcze jedno oszustwo. Lecz kiedy wszedł kot i wypadł z szopy ogarnięty szaleństwem z przerażenia, powiedziałem sobie: oto ten, w którego oni nie wierzą i którego wzywali, nie wiedząc, kogo wzywają, prawdziwy Tasz pojawił się wśród nas, aby pomścić swoje zniewagi. I chociaż moje

serce stało się niczym woda w obliczu wielkości i grozy Tasza, to jednak moje pragnienie było silniejsze od lęku. Nakazałem swym kolanom, by nie drżały, a swoim zębom, by przestały szczekać, i postanowiłem spojrzeć w oblicze Tasza, nawet jeśli by miał odebrać mi życie. Tak więc wystąpiłem i oznajmiłem przed wszystkimi, że chcę wejść do szopy. A Tarkaan, choć niechętnie, musiał się na to zgodzić.

Kiedy tylko przekroczyłem próg Stajni, spostrzegłem ze zdumieniem, że jestem w pełnym słońcu - tak jak teraz - choć wewnątrz szopy z zewnątrz wydawało się ciemne. Nie miałem jednak czasu, by się temu dziwić, bo natychmiast zostałem zmuszony do walki o życie z jednym z naszych ludzi. Gdy tylko go ujrzałem, zrozumiałem, że to małpa i Tarkaan kazali mu stanąć przy Drzwiach i zabić każdego, kto wchodzi, chyba że byłby we wszystko wtajemniczony. Ten człowiek był więc kłamcą i bluźniercą, a nie prawdziwym sługą Tasza. Dlatego z ochotą uśmierciłem łotra, a jego ciało wyrzuciłem przez Drzwi.

Potem rozejrzałem się wokół siebie, zobaczyłem niebo i rozległą, zieloną krainę i poczułem słodką woń. I powiedziałem do siebie: „Na wszystkich bogów, cóż to za urocze miejsce, czy to możliwe, bym znalazł się w krainie Tasza?” Wyruszyłem więc w wędrówkę po tej przedziwnej okolicy, aby go odnaleźć.

Szedłem przez wiele ukwieconych łąk i pośród najróżniejszych rodzajów życiodajnych, pokrytych wyśmienitymi owocami drzew, aż oto w wąskim przejściu między dwiema skałami spotkałem wielkiego Lwa. Poruszał się z szybkością strusia, a wielki był jak słoń; jego grzywa lśniła jak czyste złoto, a oczy płonęły mu jak złoto roztopione na powierzchni. Był straszniejszy niż Płonąca Góra Lagur, a jego piękność przewyższała wszystko, co istnieje na świecie, tak jak uroda kwitnącej róży przewyższa pył pustyni. Upadłem na twarz u jego stóp i pomyślałem: Oto nadeszła godzina mojej śmierci, bo przecież ów godzin najwyższej czci Lew pozna, że przez wszystkie dni mojego życia nie służyłem jemu, lecz Taszowi. Czyż jednak nie lepiej zobaczyć Lwa i umrzeć, niż być Tisrokiem całego świata i żyć, nie widząc go? Lecz oto Wspaniały pochylił głowę, dotknął mego czoła swym językiem i powiedział: „Bądź pozdrowiony, synu”. A ja odpowiedziałem: „Niestety, panie, biada mi, bo nie jestem twoim synem, lecz sługą Tasza”. Ale on odrzekł: „Moje dziecko, wszystko, co uczyniłeś dla Tasza, ja przyjmuję jako służbę mnie”. A wówczas, nie mogąc już dłużej poskromić mojej żądy poznania i zrozumienia, przemogłem strach i zapytałem Wspaniałego: „Panie, a więc to prawda, że ty i Tasz to jedno?” Lew wydał z siebie gniewny pomruk, od którego ziemia zadrżała, i powiedział: „To fałsz, a wszystko, co czyniłeś dla Tasza, przyjmuję

tak, jakbyś to czynił dla mnie - nie dlatego, że on i ja jesteśmy jedną osobą, lecz dlatego, że jesteśmy swoimi przeciwieństwami. Ja i on tak bardzo się różnimy, iż żaden niegodziwy czyn nie może być dokonany w moje imię, a żaden czyn, który jest godziwy, nie może być dokonany w jego imię. Dlatego, jeśli ktokolwiek przysięga na Tasza i dotrzymuje przysięgi, ponieważ ją złożył, naprawdę przysięga mnie, choć o tym nie wie, i to ja udzielam mu nagrody. I jeśli ktokolwiek wyrządza okrucieństwo w moje imię, wówczas, choć wymawia imię Aslana, naprawdę służy Taszowi, i to Tasz przyjmuje jego czyn. Czy rozumiałeś to, moje dziecko?" A ja powiedziałem: „Panie, wiesz, że rozumiałem”. Lecz umiłowanie prawdy nakazało mi dodać: „A jednak przez wszystkie dni mojego życia szukałem Tasza”. A Wspaniały rzekł: „Mój umiłowany synu, gdybym to nie ja był tym, za kim tęskniłeś, nie szukałbyś tak długo i tak szczerze. Bo wszyscy znajdą to, czego naprawdę szukają”.

Potem tchnął na mnie, a drżenie moich członków ustąpiło i mogłem wstać. Powiedział, że powinniśmy się jeszcze spotkać i że muszę podążać dalej wzwyż i dalej w głąb. I zmienił się w burzę i potok ognia, i nagle zniknął.

I od tej chwili, czcigodni królowie i szlachetne panie, wędruję przed siebie, aby go spotkać, a przepełnia mnie tak wielkie szczęście, że odczuwam nawet słabość, jakbym był zraniony. Bo zaprawdę, czyż nie jest to dziw nad dziwy, że nazwał mnie umiłowanym synem, mnie, który jestem tylko psem...

- Psem? Co chcesz przez to powiedzieć? - przerwał mu jeden z psów.

- Panie - rzekł Emet - to tylko takie wyrażenie, jakiego używają w Kalormenie.

- No cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mi się bardzo podobało - powiedział pies.

- Nie miał nic złego na myśli - odezwał się starszy pies. - Ostatecznie MY też nazywamy nasze szczenięta CHŁOPCAMI, kiedy się niewłaściwie zachowują.

- No tak... - przyznał pierwszy pies. - Albo DZIEWCZYNKAMI.

- Sza! - uciszył go starszy pies. - Nie używaj takich słów. Nie zapominaj, gdzie jesteśmy.

- Patrzcie! - powiedziała nagle Julia.

Ktoś zbliżał się do nich nieśmiało: wdzięczne, srebrnoszare stworzenie na czterech nogach. Wszyscy przyglądali mu się przez jakieś dziesięć sekund, a potem pięć czy sześć głosów zawołało jednocześnie:

- Przecież to Łamigłówek! Po raz pierwszy zobaczyli go w dzień, bez lwiej skóry, co bardzo go zmieniło. Był teraz sobą: cudownym osiołkiem z tak miękką szarą sierścią i tak łagodną, uczciwą twarzą, że gdybyście go zobaczyli, zrobilibyście

dokładnie to samo, co zrobiły Julia i Łucja: podbiegły, objęły go za szyję, ucałowały w nos i podrapały za uszami.

Zapytany, gdzie się podziewał, odrzekł, iż przeszedł przez Drzwi tuzem z innymi stworzeniami, lecz starał się później trzymać od nich z daleka, a zwłaszcza unikać Aslana. Widok prawdziwego Lwa nappełnił go takim wstydem z powodu tego idiotycznego przebrania się w lwią skórę, że nie śmiał nikomu spojrzeć w oczy. Kiedy jednak zobaczył, że wszyscy jego przyjaciele wyruszają na zachód, podjadł nieco trawy („Nigdy jeszcze nie jadłem czegoś równie wspaniałego”), zebrał całą swą odwagę i poszedł za nimi.

- Ale jednego jestem pewien: zupełnie nie wiem, co zrobię, jeżeli naprawdę spotkam Aslana - zakończył swą opowieść.

- Zobacysz, że kiedy go naprawdę spotkasz, wszystko będzie dobrze - powiedziała królowa Łucja.

Później wszyscy razem ruszyli dalej w drogę, kierując się wciąż na zachód, bo czuli, że ten właśnie kierunek miał na myśli Aslan, gdy zawołał: „Dalej wzwyż i dalej w głąb!” Wiele innych stworzeń podążało wolno w tym samym kierunku, ale zielony kraj był tak rozległy, że nikt się nie tłoczył.

Wydawało się, że wciąż jest wczesnie, a powietrze przesycala świeżość poranka. Co jakiś czas zatrzymywali się, aby popatrzeć wokoło i poza siebie, częściowo dlatego, że było tu tak pięknie, a częściowo dlatego, że okolicę przepęłniało coś, czego nie mogli zrozumieć.

- Piotrze - powiedziała Łucja - gdzie my właściwie jesteśmy?

- Nie wiem. Coś mi to przypomina, ale nie potrafię tego bliżej określić. Czyżbyśmy gdzieś właśnie tu raz spędzali wakacje, gdy byliśmy bardzo, bardzo mali?

- Byłyby to naprawdę dobre wakacje - zauważył Eustachy. - Założę się, że w NASZYM świecie nigdzie nie ma takiego kraju jak ten. Spójrzcie, co za barwy! Czy kiedykolwiek widzieliście taki błękit jak tam, na tych górach?

- Czy to nie jest kraina Aslana? - zapytał Tirian.

- Nie, to nie przypomina krainy Aslana na szczycie wielkiej góry, za wschodnim krańcem świata - powiedziała Julia. - Byłam tam.

- Gdyby mnie kto pytał - rzekł Edmund - tobym powiedział, że jesteśmy gdzieś w Narnii. Spójrzcie na te góry przed nami i na te wysokie, oblodzone szczyty za nami. Czy nie są podobne do gór, na jakie patrzyliśmy z Narnii, wiecie, te góry na zachodzie, za Wodospadem?

- Tak, chyba masz rację - zgodził się Piotr.

- Tylko że te są wyższe.

- Nie wydaje mi się, żeby te góry wyglądały po narnijsku - odezwała się Łucja. -

Ale spójrzcie tam

- wskazała na lewo, na południe, i wszyscy przystanęli, by popatrzeć. - Te wzgórza, pokryte takim pięknym lasem, i te błękitne za nimi... czy nie przypominają południowej granicy Narnii?

- Rzeczywiście! - zawołał Edmund po chwili milczenia - No jasne, są zupełnie takie same! Patrzcie, tam jest góra Pir z rozwidlonym szczytem, a tam przełęcz wiodąca do Archenlandii!

- A jednak chyba nie - powiedziała Łucja. - Przecież są jakieś inne, bardziej kolorowe. I są chyba o wiele dalej niż tamte, w Narnii, jeśli dobrze pamiętam, i są bardziej... bardziej... och, nie wiem!

- Bardziej prawdziwe - rzekł lord Digory cicho. Nagle orzeł Dalwid rozwinął skrzydła, wzleciał na

jakieś dziesięć czy piętnaście metrów w powietrze, zatoczył koło i wylądował lekko obok nich.

- Królowie i królowe! - zawołał. - Wszyscy byliśmy ślepi. Dopiero teraz zaczynamy widzieć, gdzie jesteśmy. Z góry ujrzałem wszystko: Ettinsmoor, Bobrową Tame, Wielką Rzekę i Ker-Paravel jaśniejący nad brzegiem Wschodniego Morza. Narnia nie zginęła. To jest Narnia!

- Ale jak, w jaki sposób? - zdumiał się Piotr. - Przecież Aslan powiedział nam, starszym, że już nigdy nie wrócimy do Narnii.

- No właśnie - rzekł Eustachy. - A poza tym przecież widzieliśmy na własne oczy jej zniszczenie. I jak zgasło słońce.

- I to wszystko jest jednak trochę inne - dodała Łucja.

- Orzeł ma rację - powiedział lord Digory. - Posłuchaj, Piotrze. Kiedy Aslan powiedział, że już nigdy nie wrócisz do Narnii, mówił o Narnii, jaką ty miałeś na myśli, lecz nie o prawdziwej Narnii. Tamta miała początek i koniec. Była tylko cieniem lub odbiciem prawdziwej Narnii, która zawsze tu istniała i zawsze tu będzie, tak jak nasz własny świat, Anglia i cała reszta jest tylko cieniem lub odbiciem czegoś w prawdziwym świecie Aslana. Nie musisz oplakiwać Narnii, Łucjo. Wszystko, co się liczy ze starej Narnii - wszystkie kochane stworzenia - zostało wciągnięte do prawdziwej Narnii przez Drzwi. Masz rację, ta jest trochę inna, tak jak prawdziwa

rzecz jest inna od swego cienia lub jak życie na jawie różni się od snu.

Jego głos przeniknął wszystkich dreszczem. A potem Digory dodał bardzo cicho:

- To wszystko jest u Platona, wszystko jest u Platona. Coś takiego! Czego oni ich uczą w tych szkołach! - i starsi wybuchnęli śmiechem. Dokładnie to samo słyszeli wiele razy z jego ust dawno, dawno temu w innym świecie, kiedy miał siwą brodę zamiast złotej. Digory domyślił się, co ich tak rozbawiło, i sam się roześmiał. Ale wkrótce wszyscy znowu spowaźnieli, bo jak zapewne wiecie, jest taki rodzaj szczęścia i zadziwienia, który czyni człowieka poważnym. Jest po prostu za dobrze, by marnować czas na żarty.

Trudno właściwie określić, czym ten słoneczny kraj różnił się od starej Narnii, podobnie jak trudno było opowiedzieć, jak smakują owoce tego kraju. Wyobraźcie sobie, że jesteście w pokoju z oknem wychodzącym na cudowną zatokę lub zieloną dolinę wśród gór. A na przeciwległej do okna ścianie wisi lustro. I kiedy odwrócicie się od okna, znowu uchwycicie spojrzeniem to morze lub dolinę w lustrze. To morze w lustrze lub ta dolina w lustrze będą w pewnym sensie te same, co prawdziwe, a jednak inne. Tamte, oglądane przez okno, są jakby głębsze i wspanialsze, jak miejsca w opowieści - opowieści, jakiej nigdy nie słyszeliście, lecz jaką bardzo chcielibyście usłyszeć. Na tym mniej więcej polegała różnica między nową i starą Narnią. Nowa Narnia była krajem GŁĘBSZYM: każda skała, kwiat, każde źdźbło trawy wyglądały tak, jakby znaczyły WIĘCEJ. Nie potrafię tego lepiej opisać. Jeśli tu kiedyś traficie, dowiecie się, o co mi chodziło.

To, co czuli wszyscy, wyraził wreszcie jednorożec. Uderzył prawym przednim kopytem w ziemię, zarżał i zawołał:

- Nareszcie wróciłem do domu! To jest moja prawdziwa ojczyzna! Do niej należę. To jest kraj, za którym tęskniłem przez całe życie, chociaż nie wiedziałem o tym aż do dziś. To dlatego kochaliśmy starą Narnię, że czasami przypominała tę. Briihiiii-hii! Dalej wzwyż, dalej w głąb!

Potrząsnął grzywą, skoczył do przodu i pomknął galopem - pełnym galopem jednorożca, co w naszym świecie oznaczałoby, że w ciągu paru sekund zniknąłby nam z oczu. Lecz oto stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Wszyscy pobiegli za nim i ku swemu zdumieniu odkryli, że dotrzymują mu kroku: nie tylko psy i ludzie, ale nawet mały, gruby Łamigłówek i karzeł Pogin na krótkich nogach. Powietrze uderzyło ich w twarze, jakby pędzili odkrytym samochodem bez przedniej szyby. Okolica przesuwała

się tak szybko, jakby oglądali ją z okien pociągu ekspresowego. Biegli coraz szybciej i szybciej, lecz nikt się nie zgrzał, nie zmęczył i nie zadyszał.

## ROZDZIAŁ 16

### POŻEGNANIE Z KRAINĄ CIENI

GDYBY SIĘ POTRAFIŁO BIEC bez żadnego zmęczenia, to myślę, że nieczęsto chciałoby się robić coś innego. Mogą być jednak specjalne powody, aby się zatrzymać, i taki właśnie powód kazał Eustachemu zawołać:

- Hej! Wolniej! Patrzcie, dokąd się zbliżamy!

I dobrze zrobił, bo oto zobaczyli przed sobą Kocioł, a tuż za nim stromą ścianę skały, z której w każdej sekundzie spadały tysiące ton wody, połyskującej jak deszcz diamentów i wabiącej tajemniczą, przejrzystą zielenią. Był to Wielki Wodospad. Usłyszeli grzmot spadającej wody.

- Nie zatrzymujcie się! - zawołał Dalwid przenikliwym głosem, wznosząc się wyżej. - Dalej wzwyż i dalej w głąb!

- Łatwo mu powiedzieć - zauważył Eustachy, ale Klejnot również zawołał:

- Nie zatrzymujcie się! Dalej wzwyż i dalej w głąb! Zobaczycie, jakie to łatwe!

W ryku wody ledwie słyszeli jego głos, ale w następnym momencie ujrzeli, jak skacze do Kotła. Bez zastanowienia, bezładnie, za to z wielkim pluskiem, wszyscy zrobili to samo. Woda nie była wcale tak wściekle zimna, jak się każdy (a zwłaszcza Łamigłówek) spodziewał. Ogarnął ich rozkoszny, pienisty chłód. Popłynęli prosto do Wodospadu.

- To czyste szaleństwo! - zawołał Eustachy do Edmunda.

- Wiem! - odpowiedział Edmund.

- Czy to nie cudowne? - powiedziała Łucja. - Czy zauważyliście, że nie można się bać, nawet jak się chce? Spróbujcie.

- O holender, rzeczywiście nie można! - zawołał Eustachy, kiedy spróbował.

Pierwszy dotarł do stóp Wodospadu Klejnot, a Tirian tuż za nim. Julia dopłynęła ostatnia, więc widziała wszystko lepiej od innych. Zobaczyła, jak w górę Wodospadu wznosi się powoli coś białego. To był - jednorożec. Trudno powiedzieć, czy płynie, czy się wspina, ale wznosił się coraz wyżej i wyżej. Nad jego głową koniec rogu rozcinał wodę tak, że opadała mu na barki jak dwa tęczowe strumienie. Tuż za nim wlatywał w górę Tirian. Wznosząc się pionowo, poruszał rękami i nogami, jakby płynął w górę po ścianie domu.

Najśmieszniej wyglądały psy. Podczas szaleńczego biegu ani razu nie straciły oddechu, lecz teraz, gdy unosiły się, wirując, w górę, kichały i parskaly, bo przez cały czas czekały radośnie, a za każdym szczenięciem do pyska i nosa wlewało im się



pełno wody. Ale Julia nie zdążyła się temu wszystkiemu dobrze przyjrzeć, bo sama została porwana w górę. Wiem, że trudno to sobie nawet wyobrazić. W naszym świecie, nawet gdyby się od razu nie poszło na dno, straszliwe masy wody roztrzaskałyby śmiałka na kawałeczki o niezliczone ostre występy skalne. W tym świecie wszystko było możliwe. Julia wznosiła się coraz wyżej i wyżej, wśród różnorodnych błysków, lśnień i promieni, wśród wielobarwnych kamieni prześwitujących przez tę świetlistą kaskadę, aż wydało się jej, że wspina się po samym świetle - i wciąż wyżej i wyżej, tak że samo poczucie wysokości mogłoby napęlić ją grozą, gdyby groza w ogóle mogła ją osiągnąć. Bo w tym świecie nie było grozy i lęku, tu przepełniało ją tylko cudowne, podniecające oszołomienie. A kiedy wreszcie dotarła do gładkiego, lśniącego łuku, którym woda załamywała się na krawędzi szczytu, ujrzała, że rozciąga się przed nią płaska toń szerokiej rzeki. Potężny prąd rwał ku tej krawędzi, lecz Julia pokonała go z łatwością. Wkrótce wszyscy stali na brzegu, ociekający wodą, lecz szczęśliwi.

Przed nimi otwierała się długa dolina, obramowana wysokimi pokrytymi śniegiem górami.

- Dalej wzwyż i dalej w głąb! - zawołał Klejnot i natychmiast ruszyli w dalszą drogę.

Teraz znajdowali się już poza granicami Narnii, wysoko, na Zachodnim Odludziu, którego nie widział przedtem ani Tirian, ani Piotr, ani nawet orzeł Dalwid. Lecz lord Digory i pani Pola spojrzeli na siebie, a kiedy się odezwali, ich głosy brzmiały cicho i spokojnie, choć pędzili szybciej od strzał:

- Pamiętasz?

- Pamiętasz?

- Czcigodny panie - rzekł Tirian - a więc to prawda, że, jak mówią stare opowieści, wy dwoje wędrowaliście przez ten kraj w dniu, w którym ten świat został stworzony?

- Tak - odparł Digory. - I wydaje mi się, jakby to było zaledwie wczoraj.

- Na latającym koniu? - zapytał znowu Tirian. - Czy to też prawdziwa opowieść?

- Tak, to też prawda - rzekł Digory. Lecz psy zaszczekały:

- Szybciej! Szybciej!

Więc pomknęli jeszcze szybciej i szybciej, aż przypominało to bardziej chyży lot niż bieg, i nie pozwolili się wyprzedzić nawet Dalwidowi lecącemu nad ich głowami. I

tak pędzili przez dolinę po dolinie, w górę stromych zboczy i - jeszcze szybciej - w dół, po drugiej stronie, wzdłuż rzeki, a czasem poprzez nią, prując tonie górskich jezior jak żywe ślizgacze, aż na dalekim krańcu długiego, niebieskiego jak turkus jeziora ujrzeli gładkie, zielone wzgórze. Jego zbocza wznosiły się stromo jak boki piramidy, a sam wierzchołek otaczał zielony mur. Nad murem zwieszały się gałęzie drzew, których liście zdawały się ze srebra, a owoce - ze złota.

- Dalej wzwyż i dalej w głąb! - wołał jednorożec i nikt nie pozostał w tyle. W mgnieniu oka znaleźli się u stóp wzgórza, a potem pomknęli po zboczu, tak jak fala wspina się na szczyt skały sterczącej w głębi zatoki. Nikt się nie poślizgnął, choć zbocze było strome jak dach kamienicy, a trawa gładka jak na boisku do gry w kręgle. I dopiero gdy osiągnęli szczyt, zatrzymali się, bo oto przed sobą mieli wielkie złote wrota. Przez chwilę nikt nie miał odwagi spróbować, czy są otwarte. Wszyscy czuli to samo co wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczyli owoce: „Czy możemy? Czy nam wolno? Czy są dla NAS?”

Gdy tak stali, onieśmieleni, gdzieś spoza murów donośnie zabrzmiał cudownie dźwięczny i słodki głos rogu. Wrota otworzyły się gwałtownie.

Tirian stał, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na tego, kto wyjdzie. Lecz gdy zobaczył, zdumiał się głęboko, bo była to ostatnia istota, jakiej mógł się spodziewać: mała, bystrooka mysz z wąskim diademem i czerwonym piórem na głowie, z lewą łapką na rękojeści długiego miecza. Skłoniła się - a był to naprawdę zachwycający ukłon - i powiedziała cienkim głosem:

- W imię Aslana, witajcie! Wejdźcie dalej wzwyż i dalej w głąb.

A potem Tirian ujrział, jak król Piotr, król Edmund i królowa Łucja podbiegli, upadli na kolana i zaczęli ściskać mysz, wołając:

- Ryczypisk!

I Tirian odetchnął głęboko z wielkiego zdziwienia, bo teraz wiedział już, że stoi przed nim jeden z największych bohaterów Narnii, Ryczypisk, dzielny wódz myszy, który walczył w wielkiej bitwie pod Beruną, a później pożegłował na Koniec Świata z królem Kaspianem. Ale nie miał czasu się nad tym zastanowić, bo otoczyły go silne ramiona, poczuł brodaty pocałunek na policzku i usłyszał dobrze znany głos:

- No, chłopcze, widzę, że wyrosłeś i zmężniałeś od czasu, gdy cię ściszałem po raz ostatni.

Był to jego ojciec, dobry król Erlan, ale nie wyglądał wcale tak jak w dniu, w którym go przyniesiono do zamku, bladego, śmiertelnie rannego po walce z

olbrzymem, ani nawet tak, jak go Tirian pamiętał z wcześniejszych lat, gdy był rycerzem. To jego ojciec, lecz młody i szczęśliwy, jak wówczas, gdy on sam był małym chłopcem, bawiącym się z nim w ogrodach Ker-Paravelu, w letnie wieczory, tuż przed pójściem spać. Wydawało mu się nawet, że znowu poczuł znajomy zapach chleba i mleka.

Tymczasem Klejnot myślał: „Poczekam, aż trochę porozmawiają, a potem podejść przywitać dobrego króla Erliana. Wiele pięknych jabłek zjadłem z jego ręki, gdy byłem jeszcze źrebięciem”. Ale w następnej chwili musiał pomyśleć o czymś innym, bo oto przez wrota wszedł koń tak potężny i szlachetny, że nawet jednoróżec mógł się poczuć onieśmielony w jego obecności: wielki, skrzydlaty koń. Spojrzał na lorda Digory'ego i na panią Połę i zarżał:

- Ależ to wy, krewniacy! A oni zawołali:

- Pegaz! Dobry, stary Pegaz!

Lecz teraz mysz ponownie zaprosiła ich do środka. Zanurzyli się w rozkoszną woń ogrodu, w chłodną mieszaninę słońca i cienia pod drzewami, krocząc po miękkim kobiercu murawy przetykanej białymi kwiatami. Uderzyło ich, że ogród okazał się o wiele większy, niż wydawał się z zewnątrz. Nikt nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, bo ze wszystkich stron nadchodziły najróżniejsze stworzenia, aby ich powitać.

Byli tu wszyscy, o których kiedykolwiek słyszeliście, jeżeli znacie dzieje tych krain: puchacz Świecopuch i Błotosmętek, król Rilian Odczarowany i jego matka, córka Gwiazdy, i jego wielki ojciec, Kaspian Żeglarz we własnej osobie. A tuż przy nim szedł lord Drinian i lord Bern, a obok karzeł Zuchon, borsuk Truflogon, centaur Grom o jar i stu innych bohaterów Wojny Wyzwoleńczej. A potem z drugiej strony nadszedł Kor, król Archenlandii, ze swym ojcem królem Luną, swą żoną królową Arawis i swym bratem Korinem Piorunorękim, i koń Bri, i klacz Hwin. A później - co Tiriana najbardziej zdziwiło - z jeszcze dalszej przeszłości przyszły dwa dobre bobry i faun Tumnus. I było mnóstwo powitań, uścisków, pocałunków i starych żartów (nie macie pojęcia, jak brzmią stare żarty, kiedy się je słyszy po pięciu czy sześciu stuleciach!), i całe towarzystwo ruszyło do środka sadu, gdzie na drzewie siedział feniks, spoglądając na nich zagadkowo z wysoka, zaś u stóp drzewa stały dwa trony. Zasiadali na nich król i królowa tak dostojni i piękni, że wszyscy skłonili się nisko przed nimi. I dobrze zrobili, albowiem stali przed królem Frankiem i królową Heleną, od których pochodzili wszyscy starożytni królowie Narnii i Archenlandii. Tirian czuł się tak, jak

wy byście się czuli, gdyby was postawiono przed Adamem i Ewą w całej ich chwale.

Pół godziny później - a może sto lat później, bo czas nie jest tu podobny do żadnego czasu - Łucja stała ze swym ukochanym przyjacielem, najdawniejszym ze wszystkich, z faunem Tumnusem, patrząc ponad murami na całą rozpościerającą się przed nimi Narnię. Bo kiedy stanęła na samym szczycie wzgórza, okazało się, że jest ono o wiele wyższe, niż myślała. Lśniące zbocza opadały daleko, tysiące stóp w dół, a jeszcze dalej, w tym niższym świecie, drzewa wyglądały jak ziarenka zielonej fasoli. Potem odwróciła się plecami do muru i znowu spojrzała na ogród.

- Ach, więc to tak - powiedziała w końcu w zamyśleniu. - Ten ogród jest jak ta Stajnia. Jest o wiele większy wewnątrz niż z zewnątrz.

- Oczywiście, Córko Ewy - rzekł faun. - Im dalej wzwyż i im dalej w głąb, tym wszystko staje się większe. Wnętrze jest zawsze większe od tego, co na zewnątrz.

Łucja spojrzała uważnie na ogród i zobaczyła, że naprawdę nie jest to jakiś ogród, lecz cały świat, z rzekami i lasami, z morzami i górami. Nie były jej obce: znała je dobrze.

- Rozumiem - powiedziała. - To jest wciąż Narnia, jeszcze bardziej prawdziwa i jeszcze piękniejsza od tej Narnii w dole, tak jak ta w dole jest bardziej prawdziwa i piękna od Narnii za Drzwiami Stajni! Ach, tak... świat wewnątrz świata, Narnia w Narnii...

- Tak - rzekł pan Tumnus - jak cebula, tyle tylko, że im głębiej się wchodzi, tym większa jest średnica.

Łucja spojrzała w ten sposób i wkrótce odkryła jeszcze jedną cudowną rzecz. Gdziekolwiek spojrzała - i jakkolwiek daleko - gdy tylko zatrzymywała na czymś spojrzenie, to miejsce przybliżało się i powiększało jak w teleskopie. Kiedy zechciała, widziała dokładnie całą Południową Pustynię, a za nią wielkie miasto Taszbaan; na wschodzie widziała Ker-Paravel na skraju morza i nawet okno komnaty, w której kiedyś mieszkała. A daleko, na morzu, odkrywała wyspy, jedną po drugiej, aż do Końca Świata, a jeszcze dalej potężną górę, którą nazywała krajem Aslana. Teraz zobaczyła, że jest to tylko jeden szczyt w wielkim łańcuchu gór, otaczającym cały świat. Spojrzała w lewo i zobaczyła coś, co w pierwszej chwili wzięła za skraj wielkiej, jaskrawokolorowej chmury, oddzielonej od nich bezmierną przepaścią. Wyteńczyła jednak wzrok i ujrzała, że to wcale nie chmura, tylko prawdziwy ląd. A kiedy utkwiła spojrzenie w jednym miejscu, zawołała:

- Piotrze! Edmundzie! Chodźcie tu i popatrzcie! Chodźcie szybko!

Nadbiegli i spojrzeli, a ich oczy też stały się takie jak Łucji.

- Ależ to Anglia! - wykrzyknął Piotr. - A to... to jest ten dom na wsi... stary dom Profesora Kirke, gdzie zaczęły się wszystkie nasze przygody!

- Myślałem, że został zburzony - rzekł Edmund.

- I nie myliłeś się - powiedział faun. - Patrzysz teraz na Anglię wewnątrz Anglii, na prawdziwą Anglię, tak jak to jest prawdziwa Narnia. A w tej wewnętrznej Anglii żadna dobra rzecz nie może ulec zniszczeniu.

Przenieśli spojrzenia w inne miejsce i nagle Piotr, Edmund i Łucja zaczerpnęli głośno powietrza w płuca, a potem zaczęli nawoływać i machać rękami, bo oto ujrzeli swoich rodziców, machających do nich w odpowiedzi poprzez wielką, głęboką dolinę. Było tak, jakby widzieli ludzi machających do nich rękami z pokładu wielkiego statku zbliżającego się do nadbrzeża w porcie.

- Jak można się do nich dostać? - zapytała Łucja.

- To bardzo proste - odparł pan Tumnus. - Ten kraj i tamten kraj, wszystkie PRAWDZIWE kraje, są tylko ostrogami grzbietów, wyrastających z wielkich gór Aslana. Trzeba tylko pójść wzdłuż krawędzi, w górę i do wewnątrz, aż się połączą. Ale posłuchajcie! To róg króla Franka. Wszyscy musimy iść wyżej.

Wkrótce wszyscy szli razem - wspaniałą barwną procesją - w górę ku szczytom o wiele wyższym od tych, jakie można by jeszcze zobaczyć w tym świecie, gdyby w ogóle istniały.

Zboczy tych niebosiężnych gór nie pokrywał śnieg, tylko puszcze i zielone hale, i rozkoszne sady, i połyskujące wodospady - jedno nad drugim, coraz wyżej i wyżej. Szli teraz wąską granią, z głębokimi dolinami po obu stronach, a poprzez jedną z dolin widzieli coraz wyraźniej i bliżej kraj, który był prawdziwą Anglią.

Przed nimi narastała jasność. Łucja zobaczyła piętrzące się wielobarwne ściany skał, prowadzące w górę jak schody olbrzymów. A potem zapomniała o wszystkim, bo nadchodził sam Aslan, skacząc po tych schodach jak żywy, złoty wodospad mocy i piękna.

Pierwszą osobą, którą Aslan wezwał do siebie, był Łamigłówek. Nigdy jeszcze nie widzieliście osiołka wyglądającego tak nędznie i głupio jak Łamigłówek wspinający się ku Aslanowi. A gdy już stanął przed nim, przypominał szczenię przy wielkim bernardynie. Lew pochylił głowę i szepnął coś, a długie uszy Łamigłówka nagle opadły, lecz potem szepnął coś jeszcze, a uszy znowu stanęły sztorcem. Ludzie nie dosłyszeli tych słów. Aslan odwrócił się ku nim i rzekł:

- Nie wyglądacie na tak szczęśliwych, jak tego pragnę.

A Łucja odpowiedziała:

- Tak się boimy, że znowu nas odeślesz, Aslanie. Już tyle razy wysłałeś nas z powrotem do naszego świata.

-- Nie lękajcie się - powiedział Aslan. - Czy jeszcze się nie domyślacie?

Serca zabiły im mocno i poczuli, jak wypełnia ich dzika nadzieja.

- NAPRAWDĘ wydarzył się wypadek kolejowy - rzekł miękko Aslan. - Wasz ojciec, wasza matka i wy wszyscy jesteście, jak to zwykliście nazywać w Krainie Cieni, umarli. Już po szkole: zaczęły się wakacje. Sen dobiegł końca: jest poranek.

A kiedy to powiedział, przestał wyglądać jak Lew, lecz to, co zaczęło się dziać później, jest tak wielkie i piękne, że nie mogę o tym pisać. Dla nas to koniec wszystkich opowieści i można tylko dodać, że odtąd już zawsze wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Lecz dla nich prawdziwa opowieść dopiero się zaczęła. Całe ich życie w tym świecie i wszystkie przygody w Narnii były zaledwie okładką i stroną tytułową; teraz rozpoczynali wreszcie Rozdział Pierwszy Wielkiej Opowieści, jakiej nikt jeszcze na ziemi nie czytał - opowieści, która trwa wiecznie i w której każdy rozdział jest lepszy od poprzedniego.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1 NAD KOTŁEM.....	
Rozdział 2 LEKKOMYŚLNOŚĆ KRÓLA.....	
Rozdział 3 MAŁPA W PEŁNI CHWAŁY.....	
Rozdział 4 CO STAŁO SIĘ TEJ NOCY.....	
Rozdział 5 POMOC DLA KRÓLA.....	
Rozdział 6 NOCNY WYPAD.....	
Rozdział 7 GŁÓWNI O KARŁACH.....	
Rozdział 8 JAKIE NOWINY PRZYNIÓSŁ ORZEŁ.....	
Rozdział 9 WIELKIE ZGROMADZENIE NA WZGÓRZU STAJNI.....	
Rozdział 10 KTO WEJDZIE DO STAJNI?.....	
Rozdział 11 WSZYSTKO DZIEJE SIĘ CORAZ SZYBCIEJ.....	
Rozdział 12 PRZEZ DRZWI STAJNI.....	
Rozdział 13 JAK KARŁY NIE DAŁY SIĘ OSZUKAĆ.....	
Rozdział 14 NOC SPADA NA NARNIĘ.....	
Rozdział 15 DALEJ WZWYŻ I DALEJ W GŁĄB.....	
<b>ROZDZIAŁ 16 POŻEGNANIE Z KRAINĄ CIENI.....</b>	